

Dziś w numerze: ● Spotkania z Marią Skłodowską-Curie ● Z dziejów ruchu robotniczego w Łodzi ● Rynek na Czarnym Łądzie ● Skandal na zamku Pumpernikiel ● Komis nisko się kłania ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

Odgłosy



Nr 30 (444)
30. VII. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Wszystko o Wydawnictwie Łódzkim

(DYSKUSJA ZE STENOGRAMU)

JAN KOPROWSKI: Na dzisiejsza dyskusję zaprosiliśmy przedstawiciela Komitetu Łódzkiego PZPR — Halinę Olaczek, dyr. Wydawnictwa Łódzkiego — Aleksandra Postołowa, ze świata naukowego i uniwersyteckiego panów: dyr. Michała Kune i dra Stanisława Kaszyńskiego, Związek Literatów i redakcję „Odgłosów” reprezentują: Jan Huszcza, Konrad Freidlich i mówiaczy te słowa. Jest jeszcze red. Henryk Pawlak z „Głosu Robotniczego”. Muszę się państwu zwierzyć, że kiedy ukazał się na łamach „Odgłosów” wywiad z dyr. departamentu wydawnictwa — Heleną Zatorską, przeprowadzony przez obecnego tu Konrada Freidlicha, cała nasza redakcja oczekiwała jakiegoś spontanicznego odzewu ze strony środowiska pisarskiego. Niestety, do tej pory, a minęło już kilka tygodni, nie ma żadnego odzewu. Czyżby oznaczało to, że pisarze podzielają w pełni poglądy dyr. Zatorskiej na możliwości i perspektywy Wydawnictwa Łódzkiego? W tej sytuacji uznaliśmy za słusze zorganizować dyskusję redakcyjną, poświęconą sprawom wydawniczym, bowiem wydaje nam się, że pewne sformułowania dyr. Zatorskiej są dla Wydawnictwa Łódzkiego nieco krzywdzące, a w każdym razie dyskusyjne. Proponuję, żeby nasza dyskusja skupiła się wokół trzech zagadnień, a mianowicie: czy Wydawnictwo Łódzkie jest zdolne wprowadzić nowe działy tj. dział literatury dla dzieci i młodzieży, dział przekładów z języków obcych i dział klasyki (przede wszystkim polskiej)?

Sądze, że naszemu Wydawnictwu takie poszerzenie tzw. profilu bardzo by się przydało i proponuję, żeby nasza dyskusja, nie omijając innych, skoncentrowała się głównie wokół tych właśnie problemów. Zapraszam państwa do wymiany zdań i opinii na ten temat.

JAN HUSZCZA: Rozpoczynając tę dyskusję trzeba się zatrzymać przy tezie zasadniczej, dotyczącej naszej polityki kulturalnej. A więc, czy polityka kulturalna ma polegać na stałym odchodzeniu od centralizacji tak, aby poszczególne ośrodki Polski zyskiwały coraz większą autonomię, czy też nie. Oczywiście myślę, że będziemy raczej za odchodzeniem od centralizmu kulturalnego. My starsi przypominamy sobie, że sytuacja kultury w Polsce międzywojennej, aczkolwiek pod wieloma względami była ona gorsza a przede wszystkim inna od dzisiejszej, charakteryzowała się całkowitą decentralizacją. Istniała całkowita autonomia poszczególnych ośrodków z tym, rzecz jasna, że na czele znajdowała się Warszawa, no bo z wieku i urzędu itd. Swoje samodzielną życie literackie i wydawnicze posiadały inne miasta, żeby wymienić, dla przykładu: Kraków, Lwów i Poznań.

ALEKSANDER POSTÓŁOW: Ja bym postawił sprawę nie tak, czy Wydawnictwo nasze jest zdolne uruchomić nowe działy, lecz czy w interesie rozwoju środowiska, w interesie miasta leży, aby Wydawnictwo w tym kierunku się rozwijało. Bo przecież Wydawnictwo jest instrumentem polityki kulturalnej. Jeżeli nawet na razie Wydawnictwo nie jest w stanie rozwinąć szerszej dzia-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

International Student Hostel

Niedawno, na pasażu ZMS koło Piotrkowskiej, spotkałem znajomego z Wrocławia, z którym nie łączy mnie przyjaźń, ani zbyt poufale koleżeństwo, ale lubimy się na tyle, że mogliśmy usiąść na ławce i wypalić papierosa. Mój znajomy jest człowiekiem godnym. Ubrany, jak to się mówi, schludnie, brązowy garnitur, koszulka polo dopasowana w kolorze, buty lekkie i przewiewne... nie miał wprawdzie sznytu filmowca, ani postury badylarza — do tego kurtki zamszowej potrzeba no i takich golfo-koszulek pod szyję — ale wyglądał rzetelnie, bez obawy, że mu na pociąg zabraknie, albo,

że na kolację wysiorbie tylko — mały kefir w mlecznym barze...

1.

Mój znajomy opowiadał:

„Przyjechałem z Wrocławia w sprawie na polę służbowej. Ale nim się człowiek zabierze do załatwiania interesów — szuka przed tym dachu nad głową. Więc poszedłem do hotelu „Savoy”. Recepcjonista z ubolewaniem rozłożył ręce. Poszedłem do „Polonii”. Ten sam bezradny, współczujący gest. Poszedłem do hotelu „Małego” przy ulicy 22 Lipca i trzeba przyznać, nazwa jest adekwatna... Został tylko „Grand”, albo parkowa ławka, wybrałem „Grand” i pan w recepcji zaproponował mi apartament, na co nie mogłem przystać, gdyż trzeba chyba mieć niedobrze w głowie, żeby płacić trzy setki za noc.

Z obawą niejaką usiadłem w hallu „Grand”, w wygodnym miękkim fotelu, i oddałem się różnym spekulacjom. A jakby tak zmienić ubranie — zapasowy garnitur miałem w walizce — i zrobić jeszcze jedną rundę po łódzkich hotelach? W „Savoyu” podać się za dyrektora? W „Polonii” za kogoś innego. W „Małym” setkę włożyć do dowodu? Tak sobie sprytnie rozmyślałem, ale rwały się wątki, bo jestem człowiekiem wrażliwym, a ci z recepcji obcinali mnie koso, Lepiej

medytować przy kawie. Opuściłem hall i wszedłem do kawiarni „Grand”. Przyjemna. I pusto. Ja tłoku nie lubię. Już miałem usiąść przy stolku, już smakowałem w myślach napój, nagle, od wejścia, gość jakiś do mnie podskoczył i powiedział: „konsumpcja”. Słyszana to rzecz: konsumpcja? W kawiarni? Gdyby jakiś kabarét, albo co... ale tak, bez niczego, konsumpcja?

„He ta konsumpcja?” — zapytałem.

„Dwadzieścia”.

„I tak u was codziennie?”

„Codziennie”.

Nie jestem człowiekiem skąpym, ale przyszedłem tylko na kawę, alkohol mi szkodzi. Zmienić lokal — pomyślałem. I zapytałem na odchodne:

„A u was w Łodzi, to w każdej kawiarni konsumpcja?”

„Nie — powiedział. — W Klubie Studenta można siedzieć za darmo”.

No nie! Ze też wcześniej o tym nie wiedziałem. Poszedłem, rzecz jasna, do klubu, i tam nie tylko kawę za dwa czterdzieści dostałem ale w dodatku złapałem pewien trop...”

2.

Ten trop zaprowadził mego znajomego do International Student Hostel, który

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 7

TYGODNIK

„Za Rubieżą”: Ci którzy rządzą Izraelem nigdy nie próbowali znaleźć dróg do współpracy z sąsiednimi narodami arabskimi. Oszolomieni mistycznymi ideami swojej narodowej wyjątkowości, poczuciem „narodu wybranego”, duchowi i polityczni przywódcy kraju proklamowali kultury sily w stosunkach z sąsiednimi narodami arabskimi. Charakterystyczne jest to, że po zakończeniu drugiej wojny

Jerozolimy Wall Street Journal. Dowodem tego są następujące fakty:
— istnieją już daleko zaawansowane plany permanentnego przesiedlenia uchodźców z rejonu Gazy i zachodniej strony Jordanii;
— integracja Jerozolimy postępuje szybko naprzód. W jordańskiej części miasta wprowadza się nazwy ulic w języku hebrajskim;
— na terenach okupowa-



Marzenia...

światowej jedynie tylko Stany Zjednoczone uczestniczyły w większej liczbie operacji wojskowych przeciwko narodom innych krajów, niż Izrael. Fala szowinizmu sztucznie podsycanego przez reakcyjną prasę załata Izrael. Spoza triumfalnych okrzyków generałów, rabinów i ministrów naród izraelski rzeczywistości nie może usłyszeć głosów ludzi, którzy trzeźwo oceniają sytuację. Z lamów gazet patrzy na czytelnika jednooki generał, którego krzykliwe oświadczenia powtarzane są bez mała, jak święte proroctwo.

Leopold Stokowski na jednym z koncertów w Carnegie Hall w Nowym Jorku przerwał wykonanie i zwrócił się do audytorium, które było wyjątkowo głośne, z takimi słowami: „Malarze malują na płótnie, muzycy na ciszy. My dajemy muzykę, wy dajcie ciszę”.

„Zemninżipao”: 16 lipca zeszłego roku nasz umiłowany wielki przywódca, przewodniczący Mao płynął po rzecze Jan-tse, stawiając czoło burzom i falom. Wydarzenie to pozostało w naszych sercach niezapomniane, radosne wspomnienie. Dodało ono wielkiej otuchy narodowi Chin i całemu światu, zachęcając do meznego przedzierania się przez wielkie burze i fale walki klasowej.

Izrael okupuje się — stwierdza w korespondencji z

nych rozwija się sieć pocztowych i bankowych placówek izraelskich:

— przystępuje się do eksploatacji złóż ropy naftowej na półwyspie Synajskim;
— centralny bank Izraela czyni starania w Międzynarodowym Funduszu Monetarnym o nisko oprocentowane kredyty na zagospodarowanie pobitych terytoriów.

Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych przyjęło przedłożony przez Pakistan projekt rezolucji unieważniającej ponownie aneksję Jerozolimy dokonaną przez władze izraelskie.

Pracownicy Instytutu Medycyny Tropikalnej umieścili pięciu mezczyzn w klatce, na wyspie Puerto Rico, w dżungli, zamieszkałej przez małpy. Okazało się, że małpy za chowują się tak jak ludzie odwiedzający ogród zoologiczny. Odczły one klatkę ze wszystkich stron i usiłowały karmić uwieczonych ludzi.

Prezydent Johnson przyznał w czasie konferencji prasowej, że straty amerykańskie w Wietnamie w maju i czerwcu br. były dużo poważniejsze niż straty poniesione przez siły południowo-wietnamskie.

Komunistyczna Partia Japonii po raz pierwszy w historii zerwała faktycznie kontakty z Komunistyczną Partią Chin, odwołując swych dwóch przedstawicieli z Pekinu. Oświadczenie partii ja-

pońskiej stwierdza, iż dwaj jej przedstawiciele nie mogą dłużej wykonywać swych obowiązków z powodu „chińskich prześladowań”.

Powołując się na dobrze poinformowane źródła w Bukareszcie zachodniemiecka agencja DPA podaje, że wizyta ministra spraw zagranicznych NRF Willi Brandta w Rumunii ustalona została na okres 3-7. VIII. br. Brandt przybędzie do Bukaresztu na zaproszenie rumuńskiego ministra spraw zagranicznych Manescu wystosowane podczas wizyty tego ostatniego w Bonn w końcu stycznia br. Będzie to pierwsza wizyta zachodniemieckiego ministra spraw zagranicznych w państwie socjalistycznym od czasu gdy von Brentano w roku 1955 towarzyszył Konradowi Adenauerowi w jego podróży do Moskwy.

Reuter donosi z Hawany, że na mocy zarządzenia władz kubańskich zniszczono tam opłaty za korzystanie z miejscowych różnorodnie telefonicznych. Zarządzeniem zostało objęte terytorium całej Kuby. Kuba stała się więc pierwszym krajem, który zapewnił ludności takie ulgi. Po siadacze aparatów telefonicznych opłacają w dalszym ciągu stałą, miesięczną kwotę, a ceny rozmów międzymiastowych pozostały bez zmian.

Jeden z ekonomistów angielskich w czasie wygłoszonego wykładu podał taką definicję inflacji: Inflacją można nazwać przekwitanie z podwyższonym ciśnieniem krwi.

Minister oświaty DRW na konferencji prasowej zorganizowanej z okazji zakończenia roku szkolnego oświadczył, że od października 1966 r. lotnie two amerykańskie zbombardowało 50 budynków szkolnych, a w poprzednim okresie zniszczonych zostało 295 obiektów tego typu. Jednakowoż dzięki ewakuacji szkół z miast, ich rozproszeniu po wsiach, możliwe stało się ograniczenie ofiar bombardowań. Obecnie w szkołach DRW pobiera naukę 5.600 tysięcy osób. Liczba nauczycieli wynosi 120 tysięcy, 3/4 ogólnej liczby książek drukowanych w DRW stano-

wią podręczniki szkolne. Każdego ucznia otrzymuje w szkole kask ochronny z plecionej bambusa i zawiniątko ze środkiem opatrunkowym. Poza tym każdy uczeń hoduje trzy kury w celu zaopatrzenia kraju w żywność.

Wkrótce w niektórych kinach Paryża biletery będą rozdawać w foyer krzesła z kartonu, które po seansie będzie można wziąć do domu w charakterze pamiątki.

W okresie od roku 1949 do 1965 NRF opuściło 5.600 naukowców i techników. Przyczyna tego zjawiska leży w coraz bardziej ograniczonych możliwościach zatrudnienia kadry technicznej i obniżaniu się zarobków tej warstwy.

Agencja Sinhua donosi, że po okresie szkolenia wojskowego i politycznego z udziałem armii rewolucyjnej nauczyciele i uczniowie w ponad 130 pekińskich szkołach utworzyli szeroki rewolucyjny sojusz.

Agencja Reutera donosi z Waszyngtonu iż po tygodniu narad Johnsona, McNamary i Westmorelanda na temat „zaangażowania” USA w Wietnamie pozostał nastrój pesymizmu i wątpliwości. W Wietnamie jest obecnie 470 tysięcy żołnierzy amerykańskich, a według informacji z Sajgonu generał Westmoreland domagał się dodatkowych 200 tysięcy „aby móc utrzymać inicjatywę”.

Waszyngton sędzi się, że Johnson zdecydował wysłać jeszcze 60-70 tysięcy żołnierzy.

Izraelski premier Eshkol w wywiadzie dla francuskiej agencji prasowej raz jeszcze potwierdził aneksjonistyczne zamiary swego rządu. Obszar Gazy powinien zdnaniem Eshkolu pozostać izraelskim. Jeśli zaś chodzi o sprawę Jerozolimy to według opinii szefa rządu izraelskiego, po zjednoczeniu tego miasta (dodajmy wbrew opinii Narodów Zjednoczonych) pod administracją izraelską, sprawa ta „nie może być przedmiotem dyskusji”.



W roli światowego żandarma

Nożycami przez PRASĘ

RAZ JESZCZE: POCZUCIE ODPOWIEDZIALNOŚCI

Przepraszam za odstępstwo. Tym razem sięgnę na początek do cytatu z powieści, która dopiero co pojawiła się na półkach księgarskich: „Malowierlni” Putramenta. Powieść ta w niektórych partiach żywa i pasjonująca, w wielu żenująco słaba. A czynię to odstępstwo ze względu na wzmiankę o poczuciu odpowiedzialności społecznej i jednostkowej, uczynionej w przeglądzie prasy z 16. VII. Otoż jeden z bohaterów „Malowierlnych” mówi:

„Jeśli już chcesz wiedzieć, co ja o tym sądzę, to uważam, że jedna z największych naszych słabości — to nieodpowiedzialność. W kapitalizmie odpowiedzialność jest automatyczna. Jak już mówiliśmy: duren, gapa zaraz dostaje po kieszeni i już go nie ma. I w zasadzie to jest słuszne. Tylko że u nas, ponieważ ta odpowiedzialność jest, sta się się rozwodniona...”

Uważam to jednocześnie za zachętę do przeczytania nowej powieści znanego pisarza.

1885-1947

Osterwa po latach dwudziestu. Tak brzmi tytuł artykułu Wojciecha Natansonowa w „Teatrze”, za mieszczony w dwudziestą rocznicę śmierci wielkiego twórcy. Nie przy jego pominięciu teatru, jego koncepcjach reżyserskich, jego aktorstwie chcemy się zatrzymać. Przy pewnej cesze charakteru, nie częstej wśród twórców. Pisze Natanson:

Ale co było dla Osterwy charakterystyczne i chyba dodawało znaczenia jego poczynaniom: artysta o tak skryzlowanych ideałach umiał też życliwie ocenić próby swych wspomnianych „Reduty” wymownie opisał wrażliwość Osterwy nawet na eksperymenty diametralnie obce jego poglądom, jak np. sprawa Ulicy Dzwonowej. Wiadomo, jakie znaczenie miała współpraca z „Redutą” Leona Schillera dla skryzlowania się artystycznego programu twórcy nowoczesnej Reformy naszego teatru. Z okresu krakowskiego pamiętam, jak chętnie i często Pan Juliusz przychodził na nowatorstwo, awangardowe spektakle „Cricotu”. Chyba nie opuścił ani jednej premiery Jaremy, Tytusa Czyżewskiego, Kurka, Witkiewicza, Wielowiejskiej;

Ostrzeżenie „Trybuny Opolskiej”: „Nie kłąć przy pszczołach”.

Pytanie „Głosu Szczecińskiego”:

„Czy bić sędzię?”.

Problem „Trybuny Mławieckiej”: „Kłopoty z inwestycjami czyli gdzie krowa ma rog”.

Ogłoszenie z „Echa Krakowa”: „Okazyjnie odstąpię 2 miejsca na omen-tarzu... Grobowiec nowy”.

OBRONA PRZYRODY

Sygnalizowaliśmy teksty tygodnika „Kultura” poświęcone przyrodzie, stosunkowi człowieka do niej, człowiekowi jako gospodarzowi. Oczywiście, wywołały liczne listy czytelników przysłały wycinek z rozprawy „Kultura a natura”, drukowanej w lwowskim almanachu „Lamus” w roku... 1913. Filozofia, zawarta w wy-cinku, zasługująca w pełni na przypomnienie:

„Kultura wyszła z przyrody i nosiła długo na sobie jej cechy; potem zwróciła się przeciw niej. A kiedy pod nowoczesnym hasłem „ochrony” zawiera z nią znowu przy-mierze, to pod wpływem tego prądu odnowiona przyroda nie będzie już tym, czym była dawniej; będzie ona nieodwrotnie nosić na sobie cechy tworu kultury. Tylko myjemy nadzieję, nie tej kultury filisterskiej i barbarzyńskiej, która z miłości do przyrody zrobiła sobie modną suknie, lub pojechała jako źródło nowych kramarskich zysków, ale kultury prawdziwej, wewnętrznej kultury ducha i serca”.

WYKRZYKNIKI

Z reguły nie powołujemy się w tej rubryce na prasę codzienną. Czasem z żalem prawdywiemy, bo w niedzielnych zwiastach numerach przynosi materiały warte uwagi, czasem zaś z żalem filuternym, gdyż można sobie pozwolić na zabawę. Uczynimy to jednak tym razem za pośrednictwem „bogato zdobionego organu Mirosława Malcharka” czyli „Wykrzykników”, regularnie pojawiających się na ostatniej stronie dwutygodnika „Współczesność”.

REFLEKTOREM PO PRASIE. Postulat „Gazety Zielogórskiej”: „Zwiększenie produkcji jaj powinno nastąpić głównie poprzez zwiększenie produktywności kur”.

Ostrzeżenie „Trybuny Opolskiej”: „Nie kłąć przy pszczołach”.

Pytanie „Głosu Szczecińskiego”:

„Czy bić sędzię?”.

Problem „Trybuny Mławieckiej”: „Kłopoty z inwestycjami czyli gdzie krowa ma rog”.

Ogłoszenie z „Echa Krakowa”: „Okazyjnie odstąpię 2 miejsca na omen-tarzu... Grobowiec nowy”.

JAN OLECHNO

TELE-OBIEKTYW

Czy lata nie da się zaprogramować?

Oglądanie programu telewizyjnego w ostatnich tygodniach przypomina poszukiwanie rzadkich kawałków mięsa w cienkiej zupce. Doprawdy, mało pozytywne zasługuje na wzmiankę. Zgoda, że w okresie urlopowym trudno o „żywy” program ze studia ale lato nie powinno być zaskoczycie czynników programujących z Placu Powstańców, czy z Placu Teatralnego

Skoro bowiem z góry wiadomo, że w lipcu i sierpniu nie można liczyć na audycje artystyczne przygotowane specjalnie dla telewizji w studiach, to czy nie należałoby z awansu pomyśleć o zaprogramowaniu lata? Podstawa musi być przy tym filmi, które- go krażki, spoczywające na

regalach w blaszanych pudełkach, są przecież czymś w rodzaju puszek z konserwami, do których sięgamy z braku świeżego mięsa.

Telewizja korzysta latem obficie z tego środka, ale chyba nienajwłaściwiej. Zamiast tego, by gromadzić w ciągu roku dużo interesującego programu filmowego przeznaczającego specjalnie na lato, karmi się nas obecnie obficie powtórkami, lub zapisami te- lerekordingu, wątpliwej jakości technicznej.

Chyba sporo zawodu przeżyliśmy wszyscy, oglądając w łódzkiej części polsko-czeskiego programu rozrywkowego przemontowane materiały filmowe z nie tak znów dawno nadanego show „Polskich Na-

grań”. Czy nie było w tym sporej dozy lekceważenia dla krajowego widza przy jednoczesnym skłonie wyłącznie w stronę widowni czechosłowackiej? Czy właśnie w przededniu festiwalu sopockiego nie można było skupić trochę asów polskiej piosenki i poszukać jakiegoś świeżego kłosa scenariuszowego, którego braku nie mogła skompensować nawet tak śliczna i miła spikerka czeskiej telewizji?

Bez entuzjazmu powitajemy odbiór programu Edwarda Dzewońskiego „Kreda na parkanie”. Wprawdzie samo przypomnienie świetnego, przedwcześnie zmarłego poety i satyryka (rodzianina) Światopełka Karpińskiego zasługuje na ośklaski, ale zabrakło chyba inwencji realizatorskiej. Zwłaszcza scenariuszowej. Mam też wątpliwość, czy należało niektóre wiersze prezentować w formie piosenki do muzyki Kurylewicza. Potraktowanie poezji jako tekstu piosenkarzkiego zmieniło jej funkcję i charakter, tworzy jak gdyby nową jakość, z której dziwnie wyparowuje osobowość pisarza.

Dłużej zatrzymajmy się przy Teatrze Sensacji. Andrzej Wydrzyński, dramaturg i rutynowany autor telewizyj-

ny (mamy takich zaledwie paru, jakoś nie może telewizja skupić wokół siebie szerzego aktoru pisarskiego), kontynuuje cykl sensacyjny kapłanem Klossa. Z jakim skutkiem?

Aby na to odpowiedzieć, muszę uciec się do rozważań ogólniejszej natury. Nie wiem dlaczego produkcja sensacyjnej i kryminalnej w naszej telewizji towarzyszy niemal z reguły posmak tandety. Dotyczy to zarówno „Kobry”, jak i Teatru Sensacji. Jakoś od zarania tych programów, świat teatralny uznał ten gatunek twórczości za chałturę. Ma to swoje bezpośrednie, namacalne skutki. Jeżeli chałtura, to po co uczyć się tekstu? Wystarczy wiedzieć coś tam mniej więcej i „haftować” potem przed kamerą według własnego uznania. Jeżeli chałtura, to po co projektować staranne dekoracje, po co wykonywać je solidnie, skoro wystarczą niedomknięte się drzwi z dyktu i tekie ścianki, które chwleją się i wibrują jak japońskie domki bambusowe podczas trzęsienia ziemi? Itede itepe, jakby powiedział Kisiel.

Na całym świecie docenia się twórczość sensacyjną, daje jej najlepszą oprawę, nie żałuje środków. Najlepsi

aktorzy nie skąpią wysiłku, by widowski tego popularnego gatunku wypadły jak najautentyczniej, by widz w żadnym wypadku nie czuł się oszukany. Czy w wyświetlaniu obecnie w kinach kryminalne „Przedział morderców” interpretacja Ivesa Montandana nie jest aktorstwem najlepszej próby?

A u nas? Dobry aktor zaangażowany do „Kobry” zachowuje się tak, jakby go spotkał ciężki despekt (Wolfejo w „Pocztówce z Rio”) Gra jakby z musu. A i tekst literacki pisany bywa lewą ręką. Powstaje łańcuch współzależności, który ciągnie naszą twórczość sensacyjną w dół. Lekceważenie tekstu literackiego przez aktorów demobilizuje autora wpływa na reżysera, scenografa kameryzistów, do kolej powrotną fałszywą oddziaływanie na aktorstwo. Itede, itepe.

A tymczasem wielkie powodzenie sensacyjnych serialów, szczególnie tych nawiązujących do żywej tradycji walki z okupantem, wymagaloby radykalnej zmiany stosunku do tego typu twórczości. Przecież przy tej właśnie okazji młodzież parzą odrzucaną cynizmem i deznwollurą, uczy się cenie zaangażowania i odwagę w imię stu-

szej sprawy. Należy więc dawać jej towar artystyczny najwyższej jakości, rzetelny, nie wybrakowany.

Myślę, że już wiele na temat „Pajęczyny” A. Wydrzyńskiego w reżyserii Józefa Słowiańskiego, z Józefem Nalberczakiem w roli porucznika Marka Wojskiego, dawać nie muszą. Na razie za-datków na nowego Klossa jest niewiele. Czy sprawa jest przegrana? Chyba nie. Ale zmienić się musi stosunek wszystkich współtwórców cyklu widowiskowego do własnego dzieła. Trzeba zapomnieć o chałturze.

Przeczytałem sobie swoje powyższe uwagi i przestraszyłem się. Czyżby istotnie wszystkie mi się w programie ostatnich dni nie podobało? Nie. Podobał mi się Wojciech Młynarski w Klubie Młodzieżowym „Po szóstej” i jego: „Dla sympatycznej panny Krysi z trzeciego turnusu od niewątpliwie sympatycznego pana Waldka... mucho-mucho”.

Władysław Ignacy

Z dziejów ruchu robotniczego w Łodzi

Pod takim tytułem ukazał się ostatnio tom szkiców popularnonaukowych nakładem Wydawnictwa Łódzkiego*). Tom ten pióra siedmiu autorów, został pomyślany przede wszystkim jako materiał pomocniczy dla wykładowców i słuchaczy szkolenia partyjnego. Ale nie tylko. Także dla tych wszystkich łódzian, którzy interesują się „wzrostem swego miasta, walką o społeczne i polityczne wyzwolenie klasy robotniczej. Cel poznawczy publikacji określił trafnie sekretarz KŁ PZPR, Hieronim Rejniak, pisząc w przedmowie: „Chodzi nie tylko o uwzględnienie zasługującej na uwagę tematyki regionalnej, ale jeszcze w większym stopniu o spełnienie określonych celów w procesie poznawania przeszłości polskiego ruchu robotniczego. Tak się bowiem złożyło, że na przykładzie „czerwonej Łodzi” można szczególnie wyraźnie obserwować i gruntownie analizować pewne istotne zjawiska w historii polskiego proletariatu i jego rewolucyjnych partii”.

Recenzowaną publikację wyróżnia wysoki poziom popularyzatorski. Niemal wszyscy autorzy oddali do rąk czytelnika syntetyczne ujęcia zagadnień, które były i są przedmiotem ich własnych, gruntownych badań naukowych. Zadbali o to, aby czytelnik był poinformowany w trakcie lektury, na jakich przekazach źródłowych formułują tezy, które mogą się wydawać dyskusyjne. Każdy oddzielny szkic zamyka zestaw podstawowej literatury przedmiotu oraz cenny wybór najważniejszych tekstów źródłowych. Włączenie owych „dodatku źródłowych” do tego typu publikacji jest chyba ewenementem w skali krajowej.

Wprowadzenie do dziejów łódzkiej klasy robotniczej w XIX i XX w. stanowią szkice J. Śmiałowskiego „Powstanie i rozwój łódzkiego okręgu przemysłowego (1815—1870)”. Autor przejrzyście i przekonująco wyjaśnia przyczyny ukształtowania się okręgu, widząc je m. in. w uniemożliwieniu kontaktów handlowych z dawnymi rynkami zbytu, w wyniku upadku niepodległej Polski i ustalenia nowych granic — w dążeniu

właścicieli osad i miast do osiągnięcia nowych, kapitalistycznych źródeł dochodu — w planowej akcji osadnictwa przemysłowego rządu Królestwa Polskiego. J. Śmiałowski podaje informacje o rozwoju manufaktur, fabryk, wprowadzeniu maszyn parowych, o warunkach pracy i położeniu materialnym robotników we wczesnym okresie kapitalizmu, o pierwszych kryzysach ekonomicznych i pierwszych zaburzeniach robotniczych. We właściwych proporcjach ukazują także zasługi Niemców w rozwoju łódzkiego okręgu przemysłowego.

Z kolei Paweł Korzec zajmuje się dwoma „buntami łódzkimi” — z 1861 i 1892 r. Mianem pierwszego buntu określano zamieszki z 21 i 22 kwietnia na Starym Mieście i zniszczenie maszyn w fabryce Scheiblera — ruch, którego bezpośrednią przyczyną był narastający przez lata konflikt między drobnymi fabrykantami, produkującymi w oparciu o ręczną technikę, a wielkim przemysłem zmechanizowanym. „Bunt” z 1892 r. stanowił zamknięcie żywiołowego okresu walk polskiego proletariatu. Powszechny strajk majowy 1892 r. stłumiony w widocznym trudem przy użyciu wojska (zabici, ranni) przez władzę carską, miał poważne znaczenie dla całego Królestwa. Wykazał, że naczelnym zagadnieniem jest zorganizowanie scentralizowanej partii robotniczej, która mogłaby pokierować walką całego polskiego proletariatu.

Ten nowy etap rozpoczyna się w Polsce — i w Łodzi — od powołania do życia PPS i SDKP, dwóch partii, które walczyły z zaborcami, będa przez kilkanaście lat konkurując o kierownictwo w polskim ruchu robotniczym. Udana i nieudana próby połączenia hasła walki klasowej z walką narodowo-wyzwoleńczą na terenie łódzkim interesująco przedstawia Izidor Hałas w szkicu „Powstanie i rozwój zorganizowanego ruchu robotniczego w Łodzi”, uwzględniając w nim także działalność poprzedników PPS i SDKP — Wielkiego Proletariatu, II Proletariatu oraz Związku Robotników Polskich.

Dzieje rewolucji 1905—1907 r. na terenie

Łodzi są już dość dobrze znane, m. in. dzięki publikacjom Pawła Korca z okazji niedawno obchodzonych rocznic — 50- i 60-lecia rewolucji. Syntetyczny przegląd sytuacji lat 1905—1907 i opis walk rewolucyjnych łódzkiej klasy robotniczej, pióra tego samego autora, przypomina dni i wydarzenia, które rozstawiły imię naszego miasta w świecie. Pozwala zrozumieć słowa W. I. Lenina, że proletariatu Łodzi dał „nie tylko nowe wzory rewolucyjnego entuzjazmu, lecz również i wyższe formy walki”.

Niezwykle ważny okres walki o polityczny i klasowy kształt władzy w powstającej, niepodległej Polsce charakteryzuje w szkicu pt. „Działalność łódzkiej Rady Delegatów Robotniczych i powstanie organizacji KPRP w 1918 r.” Ludwik Mrocza. Po analizie przytoczonego materiału o dziewięciomiesięcznym okresie działalności łódzkiej RDR trudno nie przyznać autorowi racji, że Rada, choć nie stała się socjalistycznym zarządem miasta i nie rozwiązała szeregu podejmowanych problemów ekonomiczno-społecznych, odegrała doniosłą rolę w walce o poprawę warunków bytu łódzkich mas pracujących.

Wielu łódzian stagszego i średniego pokolenia będzie miało okazję skonfrontować swoją wiedzę, wyniesioną z autopsji, z opisem wydarzeń, zawartych w ostatnich czterech szkicach. Barbara Wachowska w „Walkach strajkowych łódzkich włóknarzy w okresie kryzysu 1929—1933” w plastyczny sposób maluje tragiczne położenie włóknarzy, wyrzeczonych na bruk przez największy kryzys kapitalizmu oraz ich pełną samozaparcia walkę w takich zakładach, jak: Allarta, Geyera, Scheiblera, Steinerta, Eisenbrauna, Kindlera i wielu innych. Ta sama autorka w szkicu „Kształtowanie się jednolitego frontu łódzkiej klasy robotniczej nie ograniczyła się tylko do zobrazowania zabiegów o jednolity front walki przeciwko faszystom i narastającemu niebezpieczeństwu wojny w latach trzydziestych, ale także, co w dotychczasowej literaturze jest rzadkością, postarała się o przedstawienie wysiłków KPP, zmierzających do zorganizowania jednolitego frontu klasy robotniczej w latach dwudziestych.

Pierwsze aresztowania łódzian po klęsce

wrzeźniowej, powstanie i działalność łódzkiej organizacji PPR, akcje „Promienistych”, „Orląt”, ZMW, GL — wszystko to składa się na treść jednego z najbardziej interesujących szkiców pt. „Ruch robotniczy w Łodzi w okresie okupacji hitlerowskiej. Powstanie i działalność łódzkiej organizacji PPR”. Autor, Tadeusz Czapliński przypomina w nim dziesiątki nazwisk łódzian, bojowników z hitleryzmem, w tym wielu takich, którzy oddali swe życie w walce.

Smak pierwszych dni wolności, organizowanie administracji polskiej, rozwiązywanie kłopotów żywnościowych, uruchamianie fabryk, pociągająca krwawe ofiary w ludziach twarda walka o władzę między stronami demokratycznymi a londyńskim podziemiem z takimi ważnymi etapami, jak referendum w 1946 r. i wybory do Sejmu w 1947 r. — z tym wszystkim ma okazję zapoznać się, młody zwłaszcza, czytelnik w wartościowych i nie łatwym do napisania szkicu Mieczysława Kołodziejczaka „Walka łódzkiej klasy robotniczej o władzę i przeobrażenia społeczne w Polsce Ludowej w latach 1945—1948”.

Wydawnictwu Łódzkiemu i Ośrodkowi Propagandy Partyjnej KŁ PZPR, należą się słowa uznania za pozyskanie tak kompetentnych autorów i za innowacje redakcyjne. Szkoda tylko, że w tej niezwykle interesującej i cennej publikacji nie zamieszczono mapy Łodzi, na której zostałyby naniesione nazwy starych ulic oraz dawne nazwy fabryk (obok nowych), aby można było zlokalizować wydarzenia opisane w książce.

*) Z dziejów ruchu robotniczego w Łodzi. Materiały do szkolenia partyjnego, Łódź 1967, Wydawnictwo Łódzkie, s. 404. Publikacja ukazała się pod auspicjami Łódzkiego Ośrodka Propagandy Partyjnej KŁ PZPR. Autorzy szkiców: doc. dr P. Korzec, dr B. Wachowska, dr J. Śmiałowski, mgr L. Mrocza (pracownicy nauki UL); mgr I. Hałas — kierownik referatu historii partii w KŁ PZPR, mgr M. Kołodziejczak — dyrektor Archiwum Łódzkiego; mgr T. Czapliński — kustosz Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi.

MARIA TYMOWSKA

Spotkania z Marią Skłodowską-Curie

W bieżącym roku przypada setną rocznicą urodzin Marii Skłodowskiej-Curie.

Wytwórnia Filmów Oświatowych podjęła realizację filmu o wielkiej uczoniej. Ekipa filmowa powróciła z Paryża, ukończywszy zdjęcia na tamtym terenie.

— „Wielu moich przyjaciół twierdzi, nie bez pewnej racji, że zastrzeżyliśmy nasze prawa byłobyśmy, Piotr Curie i ja — mieli dość środków na stworzenie odpowiedniego Instytutu Radowego, bez narażania się na przeciwności, których zwalczanie było tak trudną próbą dla nas obojga, dzisiaj zaś jest ciągle próbą dla mnie.

Mimo to jednak trwam w przekonaniu, że mieliśmy rację. Ludzkość potrzebuje bezwzględnie jednostek praktycznych — ale potrzebni są także marzyciele. Ci marzyciele nie zasługują na bogactwo ponieważ go nie pragnęli”. — Tak pisała w swej autobiografii Maria Skłodowska-Curie po powrocie z Ameryki, dokąd jeździła, by podziękować za pieniądze ofiarowane jej przez amerykańskie organizacje kobiece na zakup radu dla budującego się w Warszawie Instytutu Radowego. Wśród zachowanej korespondencji znamieny jest list uczoniej do Union Minière du Haut Katanga, w którym Maria Curie zwraca się z prośbą do belgijskiej firmy o sprzedaż jej 1 grama radu dla warszawskiego Instytutu.

1 gram radu! Gram promieniotwórczego pierwiastka wydobyty rekami Marii z tysięcy przerzuconych przez nią ton uranowej rudy, oglądaliśmy w Międzynarodowym Biurze Miar i Wagi w Sèvres. Rad, który pozostawił na zawsze poparzone dłonie tej, która go odkryła, strzegą dziś w Sèvres potężne osłony. Sèvres wplecione jest w życie Marii Skłodowskiej-Curie i w inny jeszcze sposób. Tutaj w Wyższej Szkole Normalnej, gdzie kształciły się kadry nauczycielek żeńskich szkół licealnych, Maria Curie wykladała fizykę. Kierownictwo szkoły starało się od lat o zdobycie w poczet wykładowców najwybitniejszych naukowców Sorbony i College de France. Maria Curie objęła wykłady w 1900 roku. Nie posiadała wówczas jeszcze doktoratu, jej rekomendacją dla szkoły było odkrycie radu. Szkoła w Sèvres mieściła się w dawnym budynku manufaktury porcelany uruchomionej w XVII w. na polecenie pani Pompadour.

Stary gmach o prostokątnej fasadzie i dwóch bocznych skrzydłach przylega do lesistego wzgórza, które przechodzi w park. Na skrajku tego parku znajduje się doskonale zachowany pawilon, gdzie przebywał aktor, kompozytor a zarazem muzyk nadworny Ludwika XIV — Jan Lulli. W bocznym skrzydle

budynku mieszkała pani Pompadour, która wielce sobie Sèvres upodobała.

— „Profesorowie przyjeżdżali do Sèvres pociągiem lub tramwajem kursującym na linii Luwr — Sèvres — Wersal. Tramwaj przystawał przy końcu kasztanowej alei prowadzącej do stylowej bramy wejściowej. Marii Curie odpowiadał właśnie ten drugi środek lokomocji — objaśnia dyrektorka szkoły, starsza kobieta z rozetką legii honorowej w klapie kostiumu”. Sala fizyki, w której uczyła pani Curie nie zmieniła prawie swego wyglądu, również i biblioteka. Dyrektorka oprowadza nas, otwiera poszczególnie klasy, długim korytarzem kierujemy się do sali bibliotecznej. Na obu przeciwnych ścianach owalne piaskorzeźby — na jednej Ludwik XIV — naprzeciw niego



w takim samym owalu burbońskie lilie. — „Naprzeciw Ludwika była kiedyś pani Pompadour jednak z uwagi, że była to szkoła dla dziewcząt, władze uznały za słuszne zastąpić podobizną przyjaciółki królewskiej liliami Bourbonów”.

Dokumentując miejsca naszego filmu udajemy się do jednego z gmachów Sorbony. Krule drewniane schody prowadzą do ciemnej sali, w której miejsca dla słuchaczy usytuowane są amfiteatralnie. Katedra znajduje się niżej, na ścianie sieliskie malowidło utrzymane w stylu minionego epoki: łąka — zachodzące słońce i odpoczywająca krowa.

— „Gdy wykład jest nudny krowa skupia na sobie nasze zainteresowanie” — mówią spotkani na sali studenci, przygotowujący się właśnie do egzaminów.

W tej sali Maria Curie miała swój pierwszy po śmierci Piotra wykład. Rozpoczęła go dokładnie w tym samym miejscu, w którym przerwał go Piotr... „gdy się rozważa jakie postępy poczyniła fizyka w ostatnich latach dziesięciu uderza zmiana, która zaszła w naszych pojęciach o elektryczności i o materii”... tymi słowami zaczęła.

Kolejnym etapem naszych prac dokumentacyjnych jest Instytut Curie. Spotykamy tam wiele osób pamiętających Marię — są to jej dawni współpracownicy, asystenci, laboranci. Spotkaliśmy tam również kierowcę, który codziennie woził ją z Instytutu na quai de Bèthune, gdzie mieszkała. Ten starszy dzisiaj już pan serdecznie wspomina tamte czasy — jest już na emeryturze, ale przyszedł, aby nam opowiedzieć to i owo z tamtych dni.

— „Pamiętam jak wracaliśmy kiedyś do Paryża i zatrzymaliśmy się na śniadanie w przydrożnej gospodzie. Właściciel natychmiast rozpoznał swego gościa i z miłością podsunął pani Curie złota księgę, by zapisała w niej swoje nazwisko. Pani Curie nie bardzo rada z tego, szybko opuściła gospodę rezygnując ze śniadania. Innym natomiast razem wypadł nam nocleg w wiejskim zajeździe. Rano właściciel powitał panią Curie bukietem kwiatów, które ją zachwyciły poprzednio wieczorem. Tym razem pani Curie sama porosiła o złota księgę, bardzo lubiła kwiaty” — kończy nasz rozmówca.

W Instytucie Curie rosła troskliwie pielęgnowane krzewy róż sadzone reka Marii i drzewa dziś już wysokie.

Z kwiatami łączy swoje wspomnienia jeden z najmłodszych asystentów uczoniej — prof. Frilley. Mówi o niej jako o kimś bliskim, komu winien głęboka cześć, mówi o niej z przejęciem i niezwykle serdecznie — „...w jaki sposób możemy wyrazić jej wdzięczność za tę rodzinną atmosferę, jaka tutaj stworzyła, za pomoc za wiedzę, która nam udzielała — ja 19-letni wówczas asystent. Każdego poranka wstawałem z domu przywoziłem jej kwiaty, wiosenne, letnie, jesienne — donki nie zwrzwył ich mróz...”.

Aparatura jaka posługiwała się Maria Curie w swych pracach, w starej szopie przy ul. l-Homond, znajduje się w specjalnej gablocie w Instytucie. Inne narzędzia, które jej służyły są ciągle jeszcze w użyciu. W gablocie, gdzie dziś mieszka Marii, a potem Ireny, zamieszkuje prof. Taillac, wszystko zostało o dawnemu. Jak gdyby to zaledwie wczoraj Maria Curie odeszła... to samo biurko, kałamarz, te same szafy...

Przełamyujemy jeszcze zapiski czynione reka Marii — kreślone jej drobnym, jakby męskim charakterem pisma wzory chemiczne, symbole pierwiastków. Ktoś przynosi licznik Geigera, zbliża go do notatek... licznik wykazuje radioaktywność — zapiski są żywe, tyle lat minęło, ale proces rozpadu promieniotwórczych pierwiastków nie został ukończony. Teraz stała się jasne to, co mówił nam ktoś z profesorów znających Marię Curie... „Jej rece były zniszczone, okaleczone, spalone radem... ona sama była leco ofiara”.

Pozostał jeszcze wyjazd do Joinville, gdzie w filmotece Pathé spoglądamy się znaleźć materiały filmowe, kroniki z tamtych lat.

Na stole montażowym założona już taśma — puszczaemy ją w ruch... Wśród obrazów z 1920 roku poznajemy scenę gabinetu przy ul. Pierre Curie — w drzwiach stała Maria, wychodziła na mały balkonik... opiera się o balustradę... wiatr burzy jej włosy... obraz urywa się. Nieczego więcej nie zarejestrował reporter filmowy.

W kronikach z innych lat spotykamy Marię w laboratorium — jest zajęta pracą, widzimy ją od tyłu, coś zapisuje, to znów waży i zapisuje, potem odwraca głowę, patrzy na nas — żywa...

Przerzucamy dalsze metry filmowej taśmy. Rok 1934 — wyjazd Marii do Ameryki — społada na nas twarz starej kobiety... ale jest jej głos, słowa które wymawia brzmią wyraźnie w ciszy montażowej sali...

I to jest nasze ostatnie spotkanie z Marią Skłodowską-Curie na terenie Francji.

Kroniki, jakie odszukaliśmy, zostaną włączone do filmu, którego dalszy ciąg realizacji odbywa się już w Polsce.

International Student Hostel

Dalszy ciąg ze str. 1

jest przy alej Politechniki. Tym tropem poszedłem także ja.

Zacząłem od ZSP. Ale nie było nikogo, kto chciałby ze mną na temat hotelu rozmawiać, dowiedziałem się tylko, że dyrektorem owej noclegowni jest pani magister Wilhelmina Galinska. Dobrze i to. Pojechałem na aleję Politechniki. Hotel, który przez dziesięć miesięcy w roku jest tylko domem akademickim, stoi sobie w pięknym punkcie miasta, obok szerokiej, dwustronnej autostrady, niemal na wprost okazałej hali sportowej i soczystego parku, a za plecami ma autentyczny basen pływacki, który wprawdzie od dawna służy za zbiornik przeciwpożarowy, ale zbudowany był z myślą o upalnych dniach i spragnionych wody studentach — świadczą o tym niezbita słupki startowe, no i wspomnienia starszych absolwentów Politechniki, którzy zażywali tu kąpiele w sposób legalny (teraz studenci też zażywają, ale w sposób nielegalny).

Wszedłem do hallu. Było tam cicho i dostojnie. Na ścianach mozaika barwnych plakatów spod znaku Venez en Pologne! Na stolikach leżały ciężkie stopy folderów we wszystkich językach świata; sławiły nasz kraj, nasze piękne wybrzeże i góry, nasze sławne i bogate w tradycje miasta: Kraków, Warszawę, Poznań i Szczecin, i inne, z wyjątkiem oczywiście Łodzi, która jeszcze monograficznego folderu się nie dorobiła i dzięki temu nie szybko dorobi się prawdziwych turystów. Za barierą recepcji uśmiecha się do świata młoda twarz, i była to twarz, której nie trzeba nokautować łapówką ani czaro wać pozycją socjalną. Zapytałem, czy są wolne miejsca.

„Oczywiście.“
„A ile kosztuje jedno łóżko?“
„A czy pan jest studentem?“
„Tak.“
„Dwadzieścia złotych.“
„A jeśli nie jestem?“
„To czterdzieści.“

Podziękowałem, odszedłem i recepcjonistka powinna mnie w zasadzie zwinąć, ale ona uśmiechnęła się tylko, bo jest studentką i ma poczucie humoru; jakiś wariat — pomyślała — ale nieszkodliwy.

No, poszukamy teraz pani dyrektor. Wyobraziłem sobie tę osobę, jako coś niezwykle monumentalnego. Ciary mi przeszły po krzyżu. Ale podszedłem do stolika, przy którym siedział dwudziestoletni może chłopiec i jego rówieśnica, blondynka, szczupła i trochę dziecinna z

wejrzenia. Wyrzuciłem nieśmiało prośbę, aby ktoś z tych dwojga raczyło mi wskazać drogę do pani dyrektor.
— To właśnie jestem ja — powiedziała.

3.

Gabinet dyrektora mieści się na pierwszym piętrze i nie wchodzi się przez sekretariat. Duża ulga. Usiedliśmy na niewyszukanych studenckich krzesłach. Chciała od razu przystąpić do rzeczy wyciągając harmonogram hotelowych złeń, wszystko pięknie poukładane, posegregowane, i pod ręką, więc osób trzech o pomoc prosić nie trzeba. — 228 miejsc. Pokoje dwu i czteroosobowe. Bywa, że zgłoszeń jest więcej niż miejsc, ot, na przykład, z dziesiątego na dwunastego lipca zgłosiło się 350 turystów. Co zrobicie? Ano, część gości wraz z częścią recepcji przeniosła do sąsiedniego akademika i nikt z kwitkiem nie odszedł od drzwi. Kto przyjeżdża? 6-8 lipca stu Holendrów, 8-9 trzydziestu Duńczyków, 11-12 — czterdziestoosobowa grupa z ZSRR, także Anglicy, Jugosłowianie, Czesi, Bułgarzy, Węgrzy, Niemcy; ze Wschodu i Zachodu, i — jeśli tak będzie jak stoi w grafiku — do końca sierpnia zahaczą o hotel przedstawiciele czterech co najmniej kontynentów.

— Czy wasza musja ogranicza się tylko do zapewnienia przyjeźdnym noclegu?



— Ci, którzy mają ochotę, korzystają z naszych wycieczek. To są wycieczki do Radogoszcza, do łódzkich zakładów pracy, do kin, teatrów, opery, szkół...

— Pieszko?
— Nie. Mamy autokar.
— Ale jadłodajni własnej nie macie?
— Właśnie, że mamy. Jeśli ktoś chce stłować się u nas, to wsiada w autokar i jedzie do stołówki przy Piórkowskiej 48 i tam — nikogo nie zmuszamy — może zjeść obiad, albo śniadanie, albo tylko kolację, albo może wykupić całodzienne utrzymanie.

— Gdyby jeszcze dancing.
— Jest. Pod siódmkami.
— Codziennie?
— Tak. Raz tańce, raz kabaret, raz koncert, ale zawsze dużo śmiechu i dobrej muzyki.

Myszę: prasa doniosła, że na otwarciu studenckiego hotelu byli między innymi dyrektorzy łódzkich hoteli (żeby służyć dobrą radą). Myszę: hotel studencki został

zaproszony przez hotele miejskie do wspólnej pracy, która polega na tym, że jak nie ma wolnych miejsc w „Savoyu“, „Polonii“ czy „Grandzie“, to się odsyła (z wyjątkiem mojego znajomego z Wrocławia i z wieloma innymi wyjątkami) podróżnych do akademików przy alej Politechniki. Myszę: co by to było, gdyby mojej dyrektor miejsce zabrakło? „Savoy“ by pomógł „Polonia“? He he... Myszę — najgorzej jest w „Grandzie“ — nie dlatego, że miejsc nie ma, broń Boże, nie dlatego, że ceny słone, to przecież zajad znakomity, es... Nie dlatego, że drogo w Malinowej i Syrenie... Ale weźmy taką kawiarnię, przybytek, powiedzmy szczerze, dla ubogich; nie ma w Polsce takiej kawiarni, gdzie nie mógłbym wejść z dziesięcioma złotymi przy duszy (chyba, że odbywa się tam akurat tak zwana produkcja artystyczna: kabaret lub dancing), taper dudniący w pianino, bardziej mi bije w uszy niż w rachunek, i mojej dziesiątce (przy małej kawie) nie zagraża. Nie ma takiej kawiarni w moim kraju. Ale jest w moim mieście. Jest na szkodę swoją i moją. Na szkodę swoją (bo przy stolikach wieczorami pusto) i szkodę gości hotelowych, którym gorąco radzę: korzystając z usług artystyczno-rozrywkowych ZSP, zabierajcie walizki i toboły — i do hotelu przy alej Politechniki.

4.

Poszliśmy obejrzeć gościnne pokoje, te zamieszkałe i te czekające na turystów; wysprzątane do polsku, pachnące świeżą pościelą — skromniejsze wprawdzie od apartamentów made in „Orbis“, ale wystarczająco przyzwoite, aby konkurować z „Savoyem“; umywalnie, aparaty radiowe, wzorzyste zastawy okienne; system sygnalizacyjny łączy gościa z portiernią i portiernią z gościem, więc można sobie zamówić budzenie, i jeśli telefon na korytarzu zadzwoni, też cię poproszą. Dwa pokoje przeobrażono w sale projekcyjne



i tam się ogląda rewelacyjny program polskiej telewizji, a przez szyby widać panoramę szerokiej alei, domy wysokie i piękne, zieleń parku i basen, który kiedyś służył do brzczenia — jednym słowem: sama romantyka.

Zapytałem niegrzecznie panią dyrektor, ile ma lat?

— Dwadzieścia dwa.
Kiedy skończyła studia?

— Pięć dni temu.
— Politechniczne?
— Nie. Ekonomiczne. Praca magisterska z dziedziny ekonomii przemysłu.
— Skąd u pani ta sprawność organizacyjna?

— Jestem długoletnim działaczem ZSP. Poza tym: poznałam strukturę hoteli studenckich w Polsce i za granicą.

W Polsce, oprócz łódzkiego, jest jeszcze dziesięć hoteli studenckich (Warszawa, Kraków, Gdańsk, Lublin, Szczecin, Poznań, Katowice, Wrocław, Toruń, Białystok). W Polsce jest dziesięciu panów dyrektorów tych instytucji i jedna pani dyrektor. W Polsce — jak mi powiedziała — pewien angielski globtrotter — są najlepsze hotele studenckie na świecie.

Czy ja muszę mu wierzyć? Ale zapytałem jeszcze:

— Ale który jest najlepszy z najlepszych?

— A, to ten wasz, łódzki.

— Thanks — w imieniu swoim i pani dyrektor, co ma dwadzieścia dwa lata; jest sierotą i przeszła twardą szkołę życia. W czasie studiów dostawała stypendium, ale wychowuje dwoje młodszego rodzeństwa, więc smak ciężkiej pracy nie jest jej obcy. Wykonywała polecenia spółdzielni „Puchatek“, przepisywała na maszynie grube tomy zabazgranych rękopisów, udzielała korepetycji, myła hale fabryczne i nie wstydziła się do tego przystać. Jak przy tym wszystkim — prac i nauce — mogła pełnić jeszcze funkcje społeczne, za które otrzymała wiele zaszczytnych wyróżnień — nie rozumiem.

Rozumiem natomiast, gdzie szukać źródeł powodzenia — łódzkiego Międzynarodowego Hotelu Studentów.

5.

Wróćmy jeszcze do mojego znajomego, o którym mowa była na początku. Otóż, kiedy wyczerpał litanię skarg pod adresem naszych hoteli i litanię pochwał pod adresem hotelu studenckiego — powiedziałem mu wprost, bez żenady, że nie, absolutnie nic nie mam do zarzucenia łódzkiej sieci hotelowej.

Był z lekka zaszokowany i zapytał:
— Dlaczego?

To pytanie zdyskredytowało go w moich oczach. To nieinteligentne pytanie. Ale odpowiedziałem mu, mimo wszystko:

— Ponieważ, jako łodzianin, nie muszę z tych przybytków korzystać!

I sam z kolei zapytałem:

— A czy pan skarży się na hotele wrocławskie?

— Skądże znowu...

— No widzi pan. A ja się skarżę. Bo jak byłem niedawno we Wrocławiu, to też recepcjonisci rozkładali ręce. „Miejsce nie ma, nie ma, nie ma“ i gdyby nie hotel studencki — spałbym na parkowej ławce.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

RYNEK NA CZARNYM LĄDZIE

Trzy miesiące temu rozmawiałam z mgr Tadeuszem Ordyńskim kierownikiem działu ekonomiczno-handlowego Biura Komplectowania Dostaw CeBeTe o jego podróży do Etiopii, gdzie przebywał w związku ze sprzedażą polskiej fabryki koców etiopskiemu przemysłowcowi. Trzy miesiące kle dy się ma dwa lata — to okres dość długi. A właśnie tyle liczy sobie Biuro Komplectowania Dostaw. Trzy miesiące to okres dość długi jeśli wciąż dzieje się coś nowego. A tam właśnie się dzieje.

Dlatego rozmawiam dziś z dyrektorem Biura Komplectowania Dostaw mgr inż. Zdzisławem Wajsem o jego niedawnej podróży do egzotycznego kraju Czarnego Lądu — Nigerii, gdzie zdobywają sobie obywatelstwo polskie maszyny włókiennicze. Jakie — i co tam budujemy?

Rozpoczynamy tam właśnie pierwszą inwestycję — tkalnie i wykończalniami w Kano — jednym z największych miast Nigerii, bardzo starym, bo sięgającym początkami XI wieku. Od XIV wieku to dziś 170-tyśięcne miasto zaczęło rozwijać się jako ośrodek rzemieślniczy i handlowy, a dzięki pomyślnemu położeniu geograficznemu w XIX wieku stało się dużym ośrodkiem handlowym i węzłem transaharyjskich szlaków karawanowych. Dziś rozwija się tam przemysł włókienny czy.

Byłem tam przed sześcioma tygodniami i zastałem wszystko przygotowane do montażu maszyn. Roboty budowlane i instalacyjne wykonywane są przez firmy miejscowe, z Anglii sprowadzono urządzenia dla własnej kotłowni i siłowni. Jedna grupa montażowa z inżynierami

kierownikami montażu jest już na miejscu, druga odlatuje w najbliższych dniach. Warto tu może wspomnieć jako ciekawostkę, że zakład ten będzie spółką mieszaną polsko-nigeryjską. Jest to ciekawostka, bo nie zdarza się nam często wchodzić do międzynarodowych spółek przemysłowych. Naszym współwłaścicielem jest jeden z najważniejszych hurtowników i importerów tekstyliów do Nigerii. Dając mu licencję na budowę tej fabryki rząd nigeryjski, obawiając się tyżka, chciał zapewnić sobie udziałowca, który zagwarantuje właściwy i racjonalny sposób eksploatacji fabryki i jako warunek postawił nasz udział w spółce. Nasz udział jest nota bene niewielki, ale w związku z takim ustawieniem sprawy nasi specjaliści pozostaną jako kierownicy wydziałów produkcyjnych w kierownictwie zakładu do czasu spłacenia kredytu i ewentualnego wykupienia udziałów polskich.

Również w Kano podpisaliśmy kontrakt na dostawę niewielkiej przędzalni bawełny. Inwestycję tę zaczniemy realizować w 1968 r. Ale to jeszcze nie koniec naszej współpracy z Nige-

rią. Również w przyszłym roku zaczniemy realizację kolejnej umowy handlowej — dostawy trójwładzowego zakładu włókienniczego. Ta inwestycja jest niemal klasycznym przykładem międzynarodowej konkurencji, która czasem — jak w tym przypadku — przekształca się w międzynarodową współpracę na rynkach afrykańskich. Ogólny projekt techniczny budowy zakładu opracowano i przygotowano w Niemieckiej Republice Federalnej, projekt i nadzór budowlany należy do firmy amerykańskiej z Lagos, wykonawstwo budowlane prowadzi firma nigeryjska, projekt instalacji i urządzeń elektrycznych wykonał Anglik, maszyny włókiennicze dla tkalni i przędzalni dostarcza Polska, dla wykończalni — NRF.

Fabryka została zlokalizowana około 140 mil od Ibadanu — stolicy Regionu Zachodniego, największego miasta Nigerii, ważnego ośrodka handlowego. W pobliżu znajdują się plantacje bawełny, które dostarczają fabryce surowca, rezerwat wodny, niezbędny dla właściwego funkcjonowania fabryki, a nieco dalej — 50-tyśięcne miasteczko, które dostarczy robotników. Te-

ren pod fabrykę jest już zniwelowany, w budowie znajduje się — w niewielkiej odległości od przyszłego zakładu — kolonia domków mieszkalnych bungalowów przeznaczonych dla dyrekcji i pracowników nadzoru technicznego. Pierwszymi lokatorami tej kolonii będą m. in. nasi monterzy i członkowie nadzoru technicznego montujący i uruchamiający zakład. Będzie to spora, bo ponad 30-osobowa grupa.

Szosa prowadząca z Ibadanu do fabryki biegnie środkiem dżungli, stanowiącej po obu stronach wysokiej ściany olbrzymich drzew pospłatanych gęsto lianami tak, że nie ma mowy, by można do tego lasu wejść. Od czasu do czasu mur drzew przecinają wąskie, wyrębane w głąb dżungli ścieżki. Tylko dymy, unoszące się nad drzewami, gdzieś w oddali wskazują, że znajdują się tam ludzkie osiedla.

Nigeria, w większym jeszcze może stopniu niż inne kraje rozwijające się, jest krajem olbrzymich kontra-

stów. Duże miasta, jak Lagos, Ibadan czy Kano są miastami współczesnej cywilizacji, miastami o nowoczesnych city. Ich mieszkańcy są ludźmi cywilizowanymi, a jednocześnie w buszu, po bokach nowoczesnej autostrady, kryją się chaty członków plemion nie małych pierwotnych, których żył dżungla i którzy żyją jak ich przodkowie kilkadziesiąt lat temu.

Nigeria jest republiką federalną, składającą się z czterech regionów: Północnego, Wschodniego, Zachodniego, Środkowo-Zachodniego oraz Dystryktu Federalnego Lagos. Kraj zamieszkuje liczne ludy, różniące się językiem (mieszkańcy Nigerii mówią 200 językami, urzędowym jest angielski), kulturą, charakterem gospodarki i religią. (45 proc. wyznawców islamu, 20 proc. chrześcijan, reszta wyznaje pierwotne religie animistyczne). 100 lat panowania brytyjskiego hamowało rozwój ekonomiczny kraju, rozwijały się tylko te gałęzie, które interesowały kolonizatorów. Do połowy XIX w. panowała gospodarka naturalna (nota bene do dziś przeważa w niektórych regionach kraju), która potem zaczęła się

Szanowny

Panie

Redaktorze

Miasteczko otoczono XIV-wiecznym murem, na mur nasadzono trzynastą obronnych baszt, mur w niektórych miejscach poprzębiano, aby miasteczko połączyć drogami z resztą świata.

Inter muros znajdują się: renesansowy ratusz, kamienne o barokowych fasadach, ustawione jak kultury w teatrzyku, na skarpie ogromny gotycki kościół z ogromną wieżą, strzelającą prosto w niebo, górujący ciżką masą nad misternymi domkami, kino, kawiarnia, bar, restauracja, apteka, biblioteka miejska, liceum ogólnokształcące i dwie szkoły podstawowe.

Extra muros ciągną się wokół planty, przystanek autobusowy, stacja kolejowa, wyżej wielkie drzewa zorganizowane w mały park, hotelik miejski gdzie można się przespać za 20 złotych, komenda milicji obywatelskiej i reszta domów.

Niżej mały strumyczek ze młyną i niedaleko Nysa Kłodzka.

W miasteczku dużo jest dziecięcego wrzasku; tabuny chłopaków biegają pod murami, wiażą na górę po wystających kamiennych, biegną od baszty do baszty, złączą z murów — a wszystko w pedzie i tumulcie. Każdy chłopak przepasany sznurkiem, a u boku ma miecz wycięty z aluminiowej blachy.

To woje Bolesława Chrobrego.

Nie to, że nie mają żelaznych szłomów na głowach ani oszczepów o ostrych grotach, ani szczytów pokrzytych skórą. Za to wyrosły im pod

nosem wściekle, starostwińskie wasy i oczy się świecą, jak na dobrich wojów przystało. Nie szkodzi, że mury są z XIV. wojownicy z X. a oni sami z wieku XX. Zabawie to nie przeszkadza, więc cały gród i podgrodzie pełne jest wojackiego tętentu i wrzasku, w którym nie rozróżnisz żadnego artykułowanego słowa — zwyczajnie jak na wojnie.

Wszystkie przelazy i uliczki pełne są migotliwego machania orężem, zmyślnych sztychów i surowych, zawadiackich min. I lepiej dla nas, gdy nie będziemy z bardzo drobiazgowi i zawierzmy chłopięcej wyobraźni. Ujrzymy się wtedy w starym słowińskim grodzie, a gotycki mur zamieni się nam w drewnianą palisadę, która



skutecznie broni grodzisko przed napaścią Henrykowych rycerzy.

A wojownicy w podnieceniu wojennym nie dostrzegają cię nawet, mimo że od dłuższego już czasu idziesz sobie pod murem, obserwując kolejne fazy wielkiej bitwy; — ba! — omal sam nie bierzesz w niej udziału. Uśmiechasz się i twoje sympatie wyraźnie są po stronie zwycięskiej drużyny, która sromotnie przepędziła wroga. A drużyna po trudach wojennych i małym odpoczynku biegnie znowu i tym razem znika w starej, zrujnowanej

ruderze. Przez jakiś czas słychać jeszcze jej okrzyki, tłumione grubymi murami — potem wszystko milknie i zapada względna cisza — o ile cisza tutaj jest możliwa.

— A ty sobie myślisz, że podchodzą w zakamarkach starych domów sa cudowne; chętnie byś się sam do nich dołączył, mimo że mignęło ci już ileś tam latek. Wyobrażasz sobie, jak chłopcy z obnażonymi mieczami, czujni, gotowi do skoku przepatrują ciemne rozpłądliny i osaczają ukrytego wroga. Albo napotyka białego ducha i cichą go mięszem; — duch znikł! Albo w głębokiej czeluści ohydne marsjańskie stwory przygotowują atomową marszynie do zniszczenia ziemi. Łapiesz wtedy za anihilator antyprotonowy i rymmm! antymateria w osłone antymagnetyczną, która dla własnej obrony wytworzyła te pokraki z obcej planety. Z Marsjan i ich maszyny zostaje tylko kupa smrodu, a ty wentylatorem antyradacyjnym oczyszczasz atmosferę z trujących farfocli — i glob ziemski jest uratowany.

Albo wchodziś do groty, gdzie uwieczniona Cud-Królewna tęsknie wyczekuje twojej pomocy. Ty wtedy cap za łeb tego czarnoksiężnika, który dniem i nocą sterczy przy łozu Cud-Dziewicy, zardrosnie jej wlinując. Uwalniasz wtedy pannę od idioty i (gdy dorosisz) tyjez z nią długo lub krótko, szczęśliwie lub nie — jak tam ci wypadnie ze zdrowiem.

Albo z powodu zbliżającego się matriarchatu (jak przepowiadają już niektóre panie) wchodziś sobie cichutko do najgłębszego zakamarka, tam siadasz skromnie i na brzoisku kamyczka — nie zdążyłeś się jeszcze dobrze usadowić — a tu wlatuje dziki Rozwódka i zniemacza obejmując cię ramieniem za szyję i bez słów taszczy gdziekolwiek.

Albo opierasz się o zwisający stalaktyt, odkładasz miecz i wyciągasz tom Twórców Nadetych. (aż dżne, że taka wypukłość może ci się zmieścić w kieszeni). Chcesz sobie poczytać w ciuchoci, gdy nagle wpada przez dziurę w suficie twój antykolega i z puskim naskakuje na ciebie. Ty wtedy przypieprzasz mu książką w trąbę — wybacz Pan, Redaktorze, — zagalopowałem się! Zapomniałem, że to mają być przygody chłopców, a a nie starszych panów.

A więc cóż z nimi tak długo się dzieje? Pewnie przygody są ich niesłychane; — może znaleźli skarb Inków, mumię egipską, albo szczytki archaicznej wenusjańskiej rakiety?

Ala oto woje wychodzą gęsiego z dziury i jak na rzetelnych zabójców coś zanadto milczą. Są skonsternowani.

— I gdy im się przyjrzed bliżej, widzisz, że z dzielnych wojów zrobili się kundie o spuszczonej ogonach i niepewnych oczach. Cały wigor ich opuścił, buńczuczne wasy spadły na ziemię — nawo! miecze przemieniły się w pogiętą, zwykłą blachę.

— Co się stało? — Pokazują palcami na jednego z nich; chłopcu wystaje z kieszeni szpulka czarnych nici.

„Brudas to zrobił! — Uduśił nitką małego wróbla!”

— Brudas podnosi głowę, broni się:

„To nie ja, to Leszek znalazł gniazdko, to Staszek mnie namówił, to Stefan mi pomagał, to Antek wyciągnął ptaszka z gniazdko, to Rysiek trzymał go za tepek, to Maciek zacisnął pięć na szyi, to Edek pociągnął za nóżki, to Waldek, to Franek, to Wojtek! ja tylko trzymałem nitkę!”

— Nikt nie jest winien. — Nikt tego nie zrobił.

Wróbel uduśił się sam.

Po co dał się złapać, dlaczego nie był dość sprytny, aby łeb z petli w porę wyciągnąć!

Sam sobie winien!

— Na razie są natwini!



— Podnoszą wrzask, zakrzykują sprawę. — Zupełnie jak w okrutnym świecie dorosłych.

— A Brudas podnosi już głowę; ma sprytnie cwaniackie, nie chłopięce oczka, lekko wystające kości policzkowe i czarne włosy. Obszerne spodniek opinają tusty brzuszki.

Brudas pewnym już ruchem zaciska dłoń na szpulce — podskakuje w tył — nie odda swoich nici!

— Nie! Nie przyglądajmy się zanadto Brudasowi; — moglibyśmy dopuścić do głosu inne uczucia niż sympatii.

— A dzieci w tym wieku należy jeszcze kochać jak zalecają pedagogiczne podręczniki.

— Aby nie powstały w nich urazy z powodu okazywania braku miłości.

Chłopcy wracają już do równowagi. Z zastrachanych kundli na nowo robią się



woje. Na nowo wyrastają im spod nosa jeszcze bardziej; zadzierzyste wasy i na nowo rozblęskują oczy.

— Zapomnieli już o przykłej historii, miecze na nowo zamigotały w dłoniach.

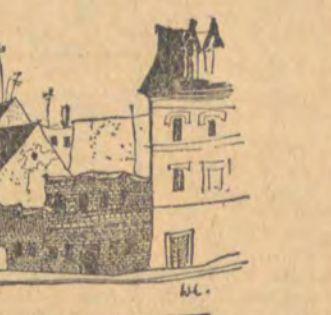
— Z nową energią wdruwali się na mury i wściekły mi wrzaskami napelnili powietrze.

O uduśzonym wróble już nie pamiętają.

Są wakacje.

Jacy ludzie wyrosną z tych chłopców?

— Na razie są natwini!



wrzaskliwi; wszystko co pomyśla i zrobiła wykrzyczą. — Ale chłopcy są pojejni — niedługo od dorosłych nauczą się prowadzenia interesów, znowy milczenia i zacierania śladów.

Na razie beztrzesko biegają po murach — wśród nich jeden z czarną szpulką w kieszeni.

Łączę wyrazy szacunku
WACŁAW KONDEK



DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cie o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cie interesują, i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (—) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cie również o inne uwagi o naszym piśmie. Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelnicych Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów”, na adres: Łódź, ulica Piotrkowska 96.

	+	—
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obywatelowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
felietony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach”?

Nazwisko i imię

wiek

zawód

adres

przekształcać w towarowo-pieniężną.

Uzyskanie w 1960 roku niepodległości rozpoczęło nowy etap w rozwoju gospodarczym kraju. Pierwszy program gospodarczy rozwoju i uprzemysłowienia opracowano na lata 1962—1968. Przewiduje on zagospodarowanie wszystkich regionów, co ma znaczenie nie tylko ekonomiczne. Polityka gospodarcza kolonizatorów, faworyzująca tylko niektóre ośrodki, sprzyjała zaognianiu wrażliwości pomiędzy poszczególnymi ludami i plemionami. Wzrost stopy życiowej wszystkich regionów powinien przynieść likwidację wewnętrznych antagonizmów.

Kapitał nigeryjski zaczyna ujawniać się dopiero teraz, głównie poprzez zaangażowanie instancji rządowych. Najbardziej dotychczas prężny w handlu i przemysle sektor prywatny opanowany był również przez cudzoziemców — głównie Libańczyków i Hindusów. Bogaci Nigeryjczycy związani byli głównie z produkcją rolną. Do dziś jeszcze podstawowym towarem eksportowym jest kakao, orzeszki ziemne, tłuszcz kokosowy. Ale dziś rząd ni-

geryjski coraz szerzej inwestuje przedsięwzięcia przemysłowe, choć nie stosuje się jeszcze ograniczeń wobec kapitałów obcych (Japonia, USA, NRF, Francja, Włochy). Niemal symbolizujący wydał mi się obrazek, który zaobserwowałem w jednym z lokali w Lagos: spotkała się tam grupa udziałowców jakiegoś towarzystwa: kilkunastu białych i dwóch Nigeryjczyków.

Co robi tam biały człowiek, który po raz pierwszy przyjechał i to tylko na dwa tygodnie, w dodatku w końcu maja? Przede wszystkim się poci i to jak najbardziej dostojnie. Nigeria leży w strefie klimatów podrównikowych. Na obszarze północnym panuje klimat suchy, na południowym — wilgotny. Zmienne wpływy dwóch mas powietrza — suchej z Sahary i wilgotnej z oceanu powodują, m. in. istnienie dwóch pór deszczowej i suchej. Ja znalazłem się na południu i to w okresie deszczowym. Ciągłe tropikalne, gwałtowne ulewy sprawiają, że w powietrzu parnym i gorącym, panuje nieustan-

na wilgoć. Nasylenie wilgocią jest tak duże, że jeśli się ktoś raz spoci, to już do wieczora nie wyschnie. Szczególnie jeśli jeszcze za bierze ze sobą koszule non-iron.

Lagos — stolica i największy port Nigerii ma dwa oblicza. Piękne i nowoczesne — dla bogatych, brudne i nędzne — dla biednych. Po działo nie przebiega tu na zasadzie: biali — Murzyni, ale na zasadzie: bogaci — biedni. Ekskluzywne lokale, stoja otworem zarówno dla Europejczyków, jak i Nigeryjczyków — pod warunkiem, że mają pieniądze. Ulica Lagos jest bardzo barwna. Sprawiają to głównie kobiety. Przystosowują one zachodnią modę do swoich upodobań. A wiec nawet mini-spodniczki, ale bardzo kolorowe, o jaskrawych intensywnych barwach, które tak kochają kobiety Południa. Dziewczeta są bardzo zgrabne i dbają o urodę, a najwięcej czasu poświęcają chyba fryzynom. Jedne z nich na modłę europejską prostują kędzierzawe włosy i noszą tzw. „spuchnięte” głowy, inne, według miejscowych obyczajów, zaplatają z dość krótkich włosów masę cienutkich warkoczyków, sterczą-

cych wokół głowy. Starsze zakładają na te warkoczki chusty w kształcie turbanów. Mężczyźni ubierają się po europejsku — spodnie i biała koszula.

W dżungli spotkać można kobiety całkowicie obnuzone, tylko w opaskach na biodrach, o twarzach ponacanych rytualnymi bliznami czy tatuażem.

Wiele wysiłku i trudu, bę dzie musiał włożyć rząd Nigerii, wiele problemów rozwiązać zanim zlikwiduje wszystkie nierówności w rozwoju ekonomicznym i kulturowym kraju.

★

Z naszego punktu widzenia Nigeria jest ciekawym rynkiem. W zdobywaniu tego rynku, wobec panującej konkurencji, wiele zależy od prężności placówki handlowej. Tak samo zresztą wiele zależy od placówek handlowych we wszystkich innych krajach. Biuro radcy handlowego przy naszej ambasadzie w Lagos działa bardzo energicznie i sprawnie. Miejmy nadzieję, że pierwsze dostawy będą do-

bra wizytówką naszego handlu.

Walka konkurencyjna na rynkach azjatyckich, afrykańskich i bliskowschodnich zawsze była ostra, ale ostatnio zaostrza się jeszcze bardziej. Jest to nie tylko kwestia nowych krajów — konkurentów, pragnących zdobywać nowe rynki dla swych towarów. Występują również stare firmy zachodnie, które dotychczas nie uczestniczyły w przetargach ze względu na ryzyko, jakie niosą kredyty długoterminowe. Obecnie uzyskują one poparcie finansowe swych rządów, które czy to ze względów politycznych, czy handlowych nie chcą utracić tamtych rynków.

Uważam, że mimo to nasza szansa są duże z dwóch powodów. Pierwszym jest nasz towar — maszyny średniego poziomu europejskiego, najodpowiedniejsze dla tamtejszych warunków technicznych i ekonomicznych, stosowniejsze niż maszyny o najwyższej technice, wysoko zautomatyzowane, wy-

magające wysoko wykwalifikowanego dozoru technicznego, eliminujące siłę roboczą do minimum — jakim dysponują dziś potencjali przemysłowi Europy i Ameryki. Kraje rozwijające się rozbudowują przemysł mechaniczny, dla zmniejszenia bezrobocia nie zależy im więc na najwyższej automatyzacji.

Drugim naszym walorem są wysoko kwalifikowane kadry techniczne, ludzie zdolni, utalentowani, mający doświadczenie w szybkim uruchamianiu obiektów przemysłowych, lata praktyki przy odbudowie naszego przemysłu. Ludzie ci chcą i umieją pracować także w trudniejszych, odmiennych od naszych warunkach.

W handlu zagranicznym niechętnie mówi się o planach Prowadzimy rozmowy z wieloma państwami, m. in. Marokiem, Iranem, Cejlonem, Birmą itd. Czy coś z tego wyniknie? Zobaczymy.

NOTOWAŁA:
TERESA WOJCIECHOWSKA

Skandal na zamku Pumpernikiel czyli baśń o oślim mleku

(BURLOGROTESKA KONFEKCYJNO-KOSMETYCZNA NA SEZON OGORKOWY. TYLKO DLA LUDZI NIEPOWAŻNYCH)

Osoby:

KSIEŻNA KURDEGARDA, żona błędnego rycerza, a przy tym księcia o nazwisku, jak poniżej.
 KSIĄŻE RUDOMYŚL ROBOAM BLANCO RUPINO FOMBONA ALVAREZ Y CORDOBA DA PUMPERNIKIEL, przy tym błędny rycerz; pan na 17.400 kilometrach kwadratowych, 16 miastach, 583 wsiach i 25 wójtostwach, hrabia na itd, itd.

OCHMISTRZYNI.
 OBERDÓJMAJSTER.
 MALWINA, dojarka-dworka.
 BERNARDA, j.w.
 STRAŻNIK I — zarazem TREBACZ.
 STRAŻNIK II, j.w.
 ZAPOWIADACZ I.
 ZAPOWIADACZ II.
 RAZEM: dziesięć osób i tysiąc głupstw.

ODSLONA PIERWSZA

(Daleki dźwięk trąb. Szczekanie psów)

ZAPOWIADACZ I: Jeszcze się niż skandynawski mocuje z wierzem azorskim.
 ZAPOWIADACZ II: Jeszcze paskudne chłody, wypychane z północy przez masy powietrza morskiego, pochodzenia polarnego, chciałyby przywlecieć się ze swych legowisk.

ZAPOWIADACZ I: Jeszcze szpetna dżdżycia chciałaby zakłaskać swego pluchatego big-beata. Ale już jutro...

ZAPOWIADACZ II: Jutro niebo, odmuchane z chmur przez ciebie wiatry, pokaże swój piękny kolor.

ZAPOWIADACZ I: I w grodzie Pumpernikiel zaczną trząskać piernaty, trzepane na przywitanie pogody.

ZAPOWIADACZ II: Ponieważ nasza burlogroteska nie zostanie przeniesiona na ekrany waszych telewizorów...

ZAPOWIADACZ I: Ani na taśmy filmowe czy magnetofonowe...

ZAPOWIADACZ II: Pozwólcie przeto, iż opiszę wam dżdżawnicę zamku pumpernikielskiego, podziurawioną pociskami jak rzeszota w czasie ostatniego oblężenia grodu przez wraże zastępy serdańskie, kiedy to znakomity książę o nazwisku, jak powyżej, został potrącony pociskiem w kolano.

ZAPOWIADACZ I: I spadł z konia sromotnie na oczach całego kwiatu rycerstwa, klnąc na czym świat stoi.

ZAPOWIADACZ II: Zaczem, wydobrzawszy, przywdział podróżniczą zbroję, ruszył w świat, żeby zmyć ze swego czoła niesławę po tym niefortunnym upadku, przydać swemu świetnemu nazwisku nowych przesiwitych blasków.

ZAPOWIADACZ I: Ale co? Co z tego, że opiszę wam zwodzone mosty, fosy, wypełnione spleśniała woda?

ZAPOWIADACZ II: Co z tego, że powiem wam, iż zamek pumpernikielski był zwyczajnym zlepkim rudem, tym różniącym się od dzisiejszych, współczesnych.

ZAPOWIADACZ I: Czym współczesne od starodawnych.

ZAPOWIADACZ II: Że powiem wam, iż trzymał się on kupy, nie dzięki opiece konserwatorów i ich znakomitych mocodawców, lecz czynił to dzięki wiekowemu przyzwyczajeniu do nierozsypywania się w gruz?

ZAPOWIADACZ I: Tak (wytrwale się trzymał w swych posadach...

ZAPOWIADACZ II: Jak trzymają się na swych fotelach bez jednej nogi — przeróżni podskakiewicze...

ZAPOWIADACZ I: Oraz nadskakiewicze? (Zapowiadacze, w celu odjęcia nudy swym popolsom słownym, przechodzą z jednej strony sceny na drugą, czynią to kilkakrotnie; Zapowiadacz I zajmuje wreszcie stanowisko Zapowiadacza II, po czym dalej, przestępując z nogi na nogę, prowadzi swój parodystyczny wywód).

ZAPOWIADACZ II: Gdyby gród Pumpernikiel istniał w czasach dzisiejszych, to by nie potrzebna było ani bomby atomowej, ani napalmu... Wystarczyłoby puknąć z paru kilkunastocetowych armatek, żeby zamienić go w perzynę.

ZAPOWIADACZ I: Ale dawniej...

ZAPOWIADACZ II: Dawniej moglibyśmy weń strzelać nawet pięciokilowymi kamieniami i niewiele byśmy wskórali.

ZAPOWIADACZ I: Najwyższej straciłobyśmy żelazną czapkę z głowy strażnika...

ZAPOWIADACZ II: Ale, jakby powiedział Tytus Czyżewski w swej koleździe: „Hola, hola, pastyrze z pola!”. Po co to całe wyślaniające nasze bredzenie?

ZAPOWIADACZ I: Te wstępne didaskalia dramatopisarskie, potrzebne czytelnikowi, jak umarłemu kadziło.

ZAPOWIADACZ II: Lub pieprz... mleku.

ZAPOWIADACZ I: Albo psu buty.

ZAPOWIADACZ II: Te teatralne pouczenia w nawiasach, mówiące na przykład... Mówiące, że w tej chwili zamek tonie w

egipskich ciemnościach. Jedno tylko okno, wykonane przez witrażystę z różnokolorowych szybek, jarzy się jak latarenka czarodziejskiego okrętu nad nieprzeniknionym morzem mgieł...

ZAPOWIADACZ I: Przecież była mowa o wyżu. Nie ma egipskich ciemności, lecz jest dzień, panowie!

ZAPOWIADACZ II: Słońce stoi tak wysoko, jak tylko może stanąć w czasie gdy Rak go zagrzewa, za oknem gotowałni księżny Kurdegardy, czekającej na powrót męża z błędnej podróży...

ZAPOWIADACZ I: Stoi harfa, na której stęskniona jasna pani będzie wótrować swej pieśni.

ZAPOWIADACZ II: Ale co z tego komu przyjdzie, gdy powiemy, iż przez lufcik gotowałni wpadają trzy promienie:

ZAPOWIADACZ I: Jeden oświetlający podbródek Ochmistrzyń, czekającej na dalsze konfekcyjne rozkazy.

ZAPOWIADACZ II: Drugi wylania z półmroku nos Oberdójmajstra, kłęczącego na jednym kolanie...

ZAPOWIADACZ I: I zamiatającego (sprzed najjaśniejszej pani kurz...)

ZAPOWIADACZ II: Zamiatającego kurz stosowanym kapeluszem w oczekiwaniu na odpowiedź na pokorne pytanie:

ZAPOWIADACZ I: W jakim mleczku kosmetycznym będzie pani plawić swe wdzięki na przyjazd pana, który, jak o tym świadczy coraz gwałtowniejsze ujadanie osów, musi być niedaleko?

ZAPOWIADACZ II: W mleku oślim dardanelskich: burych czy białych?

ZAPOWIADACZ I: Trzeci zaś promyk, wpadający przez lufcik, rozjaśnia twarz

W łwej Kurdegardzie nie inne nie gość kromia tęskności.
 ZAPOWIADACZ II: Ale podczas gdy księżna śpiewa pieśń, z tyłu składająca się klasycznych zwrotek — o regularnym rytmie i rytmie...

ZAPOWIADACZ I: Z ilu składa się utwór Jana Kasprowicza o Marii Egipcjance...

ZAPOWIADACZ II: Strażnicy na murach, zamiast wypatrywać swego księcia, pędzatego na zakurzonej rumaku na czele poczty czeladników rycerskich...

ZAPOWIADACZ I: I zamiast trąbić na znak, że się czuwa, wiodą taki plugawy rozhovor:

STRAŻNIK I: Pieje i pieje ta nasza Kurdegardzicha, jakby jej Rudek nigdy nie miał wrócić... A przecież, jak kto wyjedzie, to musi wrócić. Przecież książę to nie szpilka w trawie, żeby mógł zginąć. Nie przyjedzie to?... Przyjedzie, przyjedzie, stara gipiuro, nie bój się!

Po czym będzie dmuchał? Po czarnej kaszy z olejem? Po rzepież?... Przecież trzeba, jeśli ma dobrze trąbić, to musi wiedzieć, po czym ma trąbić... jak dmuchać, skoro pod piersiami czego?

STRAŻNIK II: Naczelnik straży nie będzie pytał, po czym i jak?... Spęta cie, jak wiewprzka, wsadzi do ciemnicy i sprzeda komu innemu jak młarkę owsa. Przecie jesteście człowiekiem niewolnym... Workiem siana jesteście, nie człowiekiem!

STRAŻNIK I: Wielkie mi co, jak mnie weźma w dyby. Zależy mi na tym, którą nogę mi kat odradzie: prawa czy lewa. Albo zapła trzewiki hiszpańskie... Już mi gęba spuchła od tego trąbienia... Trąbi się, trąbi, i dokąd tego ma być?... Żeby choć, co z tego wynikło.

do oślego mleka, w którym Kurdegarda będzie się kąpać.

ZAPOWIADACZ II: Ile wladet rozartych słodkich czeresni, ile zdrowych dla cery poziomek, malin? Ile róż jerychońskich i frangiłpanu.

ZAPOWIADACZ I: Oberdójmajster, na którego barkach ma spocząć słodkie brzemię kąpielnej cieczy, odnotowuje na osobnej karteczce, ile daje mleka — ośliczka Fiametta, ile — Uszatka, co ją księstwo Pumpernikiel otrzymali w darze od diuka Cosi van Tutto... Rozmyśla, jakby najlepiej zadbać, żeby wszystko było akurat.

ZAPOWIADACZ II: Tymczasem księżna Kurdegarda wraz z Ochmistrzynią wiodą taka konfekcyjno-modniarska rozmowę:

KS. KURDEGARDA: Trąbia i trąbia te głupie rygusy strażnicy, jakby i bez ich pomocy nie było wiadome, że książę wrócił... Przecież ogary nie na darmo szczekają. Zapewne wzięły w nozdrza zapach księżny...

ZAPOWIADACZ I: Księżna do Ochmistrzyń:

KS. KURDEGARDA: Zatem powiadasz, moja ochmistrzyń, że mimo mych trzech podbródków wyglądam w tej sukni na dziewczęce?

OCHMISTRZYNI: Mogłaby jej wysokość mieć nie trzy podbródki, ale — i pięć... Mogłaby tusza jej dostojności wylegwać się przez biustonosz na podłogę... Ale w tej sukni, co ją przymierzasz, wyglądam na podłotkę... Przydałoby się jednak, abyś godnie trzymała się w ramionach — i biust podawała ku przodowi... W ten sposób zyskasz upragnione wcięcie w talii. A zyskasz je łatwo, gdy ciężar twojego ciała będzie się osadzał na biodrach, nie na brzuszku.

KS. KURDEGARDA: Ach, ochmistrzyń, Anielku ty złota... Ja bym ciebie nie oddała nikomu nawet za czterdzieści wsi... Wraz z całym inwentarzem zwierzęcym i ludzkim... Słowa twe płyną jako miód.

OCHMISTRZYNI: Płyną, jak miód, bo i ja kiedyś byłam piękna i młoda. Mój pan małżonek, ten stary wasaty kocur, nie porównywał mnie do przepalonego pieca, w którym mogą palić wszyscy diabli... Ciało moje było jędrne i ścisłe, jak rzeпа! Nie takie zeprzałe i marskie jak ninie... Więc gdy zakładano mi sznurówkę i ona trzasnęła, bo sznurowadła nie wytrzymała, i trochę mnie wyprysnęło na zewnątrz, to jedną damę aż odrzuciło w kat... Musiały się później dobrze damy napocić i nogami rozeprzeć, żeby na mnie inny gorset zacisnąć... Postać moja była strzelista jak marmurowa budowla. Jej półpiętrze i górne pietra pełne były wymyślnych kapiteł i wdzięcznych gzymśów... Ale wasza najjaśniejsza dostojność, chociaż bywało, że poszłam po linii jakiegoś miłosego figla, jakiegoś niewieściej psoty, to nie stalam się niewiastą o wytartym, miedzianym czole. Barłoga nie byłam!... I rumieńca, co niewieściego czoła winien być ozdoba, nie pozbyłam się.

KS. KURDEGARDA: Wielka jest potęga niewiasty, nawet jeśli to owoc żrąty.

ZAPOWIADACZ I: Ochmistrzyń z zapalem:

OCHMISTRZYNI: Ciało powabnej niewiasty, jeśli tylko opromienia ją radość wewnętrzna i chęć rozsiewania jej, to — kapeła dźwięcząca przenajróżnorodniejszymi instrumenty. Zdarzyć się czasem może, iż zbyt gruba łydka zamąci melodię ogólnej harmonii — jak szorstki bas lub serpent. Czasem wydatny noszek zbyt wystawa ku przodowi, zagwiżdże w tej kapeli — jak piszcząca szalająca. Ale znająca się na swych umiejętnościach niewiasta potrafi na wet ze swej ułomności uczynić groźną dla galanta broń.

KS. KURDEGARDA: Ale mówdy do rzeczy. Podejże do zwierciadła... A w tej sukni, jak mi jest?

OCHMISTRZYNI: Zależy, na jaki kolor każesz pani przebarwiać swe włosy. Jeśli na rudy kolor, jak królowa Maria Tudor, to będzie ci do twarzy w niebieskim. Jeśli kosy mają załsnic miodową barwą, jak kędziory naszej pierwszej matki, Ewy, to radzę wystąpić w tej czarnej z brokatu... Jeśli zaś gestwie ciemlaczkowej przydamy odciń trzcinowych mebli, kosy przebarwujemy na barwę cedrowa, to może być twarzowa — i ta czarna, ale w białe dziewczę lilie.

KS. KURDEGARDA: Bardziej mi się podoba ta całkiem biała.

OCHMISTRZYNI: To trzeba wtedy przebarwiać włosy na barwę mahoniowa. Ale krawczyń, moim zdaniem beda musiały odiać trochę tych rieszów, falbanek, baskinek, bo one tylko pogrubiają to, co z samej istoty niewieściej rzeczy jest w niej pogrubione.

KS. KURDEGARDA: Czyli z tego, co powiedziałaś, wynika, że jestem grubas.

OCHMISTRZYNI: Żebym w tej chwili z krzesła spadała, jeśli pan jest grubal!

KS. KURDEGARDA: Trochę jednak przygrubiałam z tęsknoty.

OCHMISTRZYNI: Pół życia bym dała, żeby być taką wiotką.

KS. KURDEGARDA: Mówisz tak, bo ci pachną wsie i talary! Wiotka jestem jak kufa!

OCHMISTRZYNI: Żebym z tego miejsca nie wstała, jeśli kłamie. Cere pani masz miedliczka jak atlas. Na twarzy nie widać jednej kurzej łapki... Ale istotnie, gdyby tak puścić hiszpańska kryzę, chociaż kto wie, czy sukniła nie byłaby wtedy zbyt hiszpańska... Na jagody wypuścić by można po jednej załotnej muszce, pod kryzą powiesić brylant...

ZAPOWIADACZ I: Mówi z emfazą:

KS. KURDEGARDA: Brylant wielkości kaczego jajka! Tak jest, moja droga Anielciu. Wszystkie damy piękna z zazdrości!

OCHMISTRZYNI: Zatem zabieramy się do omówienia uczty.

ZAPOWIADACZ II: Tak kończy się druga odsłona. Trzecia i czwarta nie odsłonia się w tym sezonie ogorkowym. Ale w formie zadatku na następne odsłony powiemy, iż całość kończy się wielką lefnia tragedią, której istotą w tych czasach był brak odpowiednich lodówek do konserwacji wydojonego oślego mleka. Wskutek tego skisło ono, kąpiel nie mogła się odbyć, zaś dworka dojarka Malwina oraz Bernarda wymierzyli sobie śmierć razem z Oberdójmajstem.



kuchmistrza, nie mającego jeszcze dostatecznych danych odnośnie jadospisu.

ZAPOWIADACZ II: Bo przecież po kąpielii upiekającej odbędzie się wielka uczta, wielki jubel!

ZAPOWIADACZ I: Konni fechtmistrze będą przeskakiwać przez siebie na swych rumakach!

ZAPOWIADACZ II: Zaproszeni rycerze będą wbiąć gwoździe w białą gołymi piętami!

ZAPOWIADACZ I: Skomorochy zagrają na swych drumlach, bębniąc na bębnach.

ZAPOWIADACZ II: Więc jeśli te pouczenia teatralne i zapowiedzi nie są nikomu potrzebne...

ZAPOWIADACZ I: To, do stu fur beczek i katapult! Dlaczego nie zaczynamy?

ODSLONA DRUGA

ZAPOWIADACZ I: Skubana harfa dźwięczy, psy szczekają, stęchać dalekie granie trąb. Księżna śpiewa, co następuje:

KS. KURDEGARDA: A bywajże, Rudku, och, bywajże, bywaj — i swymi wargi jej usta rozrywaj.

Gdy ciebie nie ma, wszystko zamknięte na srogą brzoń.

Smutno się sączą leśne, rześkie zdroje, smutniej fruwa ja lelki-kozodoje.

Gdy ciebie nie ma smutku armada cała mna włada.

Kmjołki do mleka więcej dodawają wody — i wrony żalostniej krakają, zaś posród łona żalostna śledziona wleża zasmucona...

Tyś jest paizą mojego żywota, ciebie wołają alkojwy mej wrota.

Wszystko o Wydawnictwie Łódzkim

(DYSKUSJA ZE STENOGRAMU)

Dalszy ciąg ze str. 1

lności to będzie mogło uczynić to w przyszłości, jeśli — powtarzam — w interesie miasta, regionu, polityki kulturalnej, rozwoju środowiska jest to, żeby Wydawnictwo zajmowało się sprawami, o których była mowa w zagajeniu.

JAN KOPROWSKI: Dla mnie jest to oczywiste.

JAN HUSZCZA: Z jednej strony założenia — piękne. Ale czy istnieje możliwość realizacji tych coraz szerszych założeń?

MICHAŁ KUNA: Zakładam, że w Polsce współczesnej wydawnictwa nie są deficytowe. Rządza nimi określone prawa ekonomiczne, które na ogólnie sprowadzają się do „działu dobru” pomiędzy wielkimi wydawnictwami stołecznymi i wydawnictwami regionalnymi, które są sztucznie regionalnymi, na co p. Zatorska zwróciła już uwagę. Wydaje mi się, że nie profiluje się wydawnictwo, profil powstaje w toku jakiejś konkretnej roboty. Odwróciłbym sytuację — nie profilowałbym wydawnictwo, tylko dawał dosyć daleko idącą autonomię wydawnictwa, co jest chyba możliwe w wielkiej polityce kulturalnej państwa. Każde wydawnictwo regionalne winno wypracować sobie profil zaczynając od rzeczy drobnych, od wrażeń wydawniczych, aby dojść

zienie się środowiska, które jeśli nawet w pierwszym i drugim roku nie zapełni teki redakcyjnej w nowych działach, to w każdym bądź razie za jakiś czas będziemy mieli również i te problemy załatwione. Wciąż chyba i w interesie nie tylko miasta, ale w ogóle w interesie prawidłowego rozwoju kultury leży stwarzanie możliwości dla pełnego rozwoju środowisk twórczych i naukowych. Jeżeli będziemy się oglądać na to, czy możliwości te już istnieją, to obawiam się, że poza Warszawą nigdy i nic nie powstanie.

JAN HUSZCZA: Bez boiska nie będzie piłkarzy.

HALINA OLACZEK: Jest bardziej prawidłowe i tak chyba być powinno, że się przedstawia pewien program, otrzymuje akceptację i zaczyna w ramach tego programu działać. Jednakże w sytuacji, kiedy są pewne opory z zatwierdzeniem takiego programu który by przewidywał powołanie nowych redakcji, zacząć by chyba należało od końca. Poprzez wysuwanie poszczególnych pozycji, pozycji właśnie z tych nieistniejących działów, nawet w sytuacji, kiedy jeszcze te redakcje nie są powołane. Na każdą pozycję uzyskuje się przecież opinie — ministerstwo wyraża zgodę na każdą zgłoszoną przez wydawcę książkę. Kiedy 10 lat temu powstało Wydawnictwo, wszystkie możliwości były już rozdysonowane i należało wejść tzw. kuchennymi drzwiami, na zasadzie faktów dokonanych. Dziś wiemy, że była to droga słuszną. Jeszcze jedną sprawą — sprawą pozycji społeczno-politycznych. Chciałabym tu mówić o pewnych proorokach. Jest rzecz niedobra i niesłuszną — w zasadzie teke tej redakcji wypełniała pozycje historyczne. Należałoby nawładzać większą współpracę ze środowiskiem socjologów, z środowiskiem naukowców, którzy by podieli również problematykę współczesną. Te nieliczne 4-5 pozycji, poza historycznymi, związane głównie z teatrem, to jak na możliwości i potrzeby środowisk naszego miasta za mało. A trzeba pamiętać, że współczesna problematyka podniosłaby rangę wydawnictwa. Ogroniłabym, ważną rzeczą jest sprawa strajków łódzkich, naszych włókienników itp. ale to są sprawy lokalne i na ogólnopolskim ry-

ALEKSANDER POSTOŁOW: Nasze książki rozchodzą się mniej więcej w osiemdziesięciu kilku procentach. Remanenty sięgają 2-3 milionów zł (bo to narasta latami).

MICHAŁ KUNA: To jest chyba bardzo dobry procent. Słedzę te sprawy, mogę nie myląc się grubo stwierdzić, że np. literatura naukowa w Polsce rozchodzi się w 15-20 proc. Sprawa rentowności Wydawnictwa Łódzkiego w liczbach porównawczych jest zadowalająca. Warto chyba szukać tego rodzaju kierunków działania, które by potrafiły ściągnąć do Łodzi innych autorów jako kontrahentów. A jak wygląda sprawa od strony środowiska autorskiego? Czy łódzkie środowisko tworzy w dalszym ciągu cznie niedostatek możliwości publikacyjnych? Czy Wydawnictwo Łódzkie jest zadowolone propozycjami czy istnieje ubóstwo teki wydawniczej? Bo jeżeli nie widać starca nam błodów naszych rodzimych twórców, to chyba można odwołać się do autorów spoza Łodzi?

JAN KOPROWSKI: Łódzcy autorzy wydała również w innych wydawnictwach i Wydawnictwo Łódzkie drukuje innych autorów, poza łódzkich.

ALEKSANDER POSTOŁOW: Na ten temat mówił wiceminister Rusinek, byśmy się nie zacieśniałi wyłącznie w łódzkie środowisko. Nie ma wydawnictwa, które może ograniczyć się do jednego środowiska, zwłaszcza kiedy postuluje się powieść i to powieść współczesna. W tej sytuacji środowisko łódzkie nie jest w stanie zabezpieczyć nam wszystkiego, aczkolwiek zabezpiecza przynajmniej jakieś 70 proc. tej literatury.

KONRAD FREJDLICH: Ja bym się w wielu sprawach zgodził z tym co mówił tow. Olaczek. Z tym że chciałabym jeszcze te jej wypowiedzi w jakiś sposób uzupełnić. W warunkach kultury socjalistycznej taka placówka jak Wydawnictwo powinna spełniać funkcje inspiratorskie. Miedzy innymi inspiratorskie. Jeżeli więc na jakichś odcinkach działalności kulturalnej brak określonych zjawisk, wydawnictwo powinno robić wszystko, żeby takie zjawiska się pojawiły. I to jest sprawa powołania tych nowych działów, o których była już mowa na samym wstępie. A z drugiej strony w ramach tych redakcji, które już istnieją, Wydawnictwo powinno występować z inicjatywą w stosunku do pisarzy, nie tylko zresztą do pisarzy, bo to jest problem w równym stopniu obchodzący środowisko naukowe. I tu mi się wydaje że wydawnictwo za mało jeszcze zrobiło. Nawet w bibliografii Łodzi istnieją kolosalne luki. Kiedy się porówna produkcję przedwojenną działających w Łodzi nie wydawnictw, przecież, a tylko księgarń nakładowych, okaże się, że wydawnictwo ma wiele do zrobienia, aby im dorównać. Z tym, że aby mogło prawidłowo prowadzić swoją działalność w ramach tych redakcji, które już istnieją, to wydaje mi się że potrzebny jest osobny jego rozwój poprzez inne działy. A ta sprawa ciągle jeszcze nie jest załatwiona i ciągle domaga się jak najszybszego rozwiązania.

STANISŁAW KASZYŃSKI: Wydaje mi się, że stwierdzenie, które powtarzało się i miało swoje ilustracje prawie we wszystkich wystąpieniach państwa, jest chyba sformułowaniem i stwierdzeniem słusznym. Należy zabiegać o rzeczywistą samodzielność naszego Wydawnictwa Łódzkiego. Tym bardziej, że zabiegać to są istotne i aktualne, ponieważ istnieją możliwości, szanse i wszelki, warunki doświadczenia o owej samodzielności. Kol. Jan Koprowski wysunął tutaj trzy sprawy, które są sprawami podstawowymi dla rozszerzenia dla wzmocnienia rangi wydawnictwa tzn. powołanie do życia nie istniejących dotąd działów redakcyjnych, które by w jakimś sensie te powieźmy, doświadczenia struktury przekształciły w strukturę całkowitą. Tu może się odwołać do analogii z Uniwersytetu. Jeśli istnieje Wydział tzw. dawny Humanistyczny, na którym nie istnieje Filologia rosyjska (jak dotąd było w Łodzi), na który nie ma innej neofilologii a jest tylko polska (jak było do niedawna), to jest to kadubowy wydział filologiczny, który nie może się absolutnie rozwinąć który

część swojego dorobku wydała gdzie indziej. Gdyby taki dział istniał, nie wydawaliby swoich książek poza Łodzią. Poczucie wzniosłej lojalności wobec miasta, w którym żyjemy, wobec wydawnictwa, które w naszym mieście działa, nastąpił wtedy jeśli taki dział będzie czynny. Chciałabym powiedzieć, że zarzut braku środków i sił, który formuluje p. Zatorska, zwłaszcza pod adresem przekładów, ale który można by przerzucić i na zagadnienie literatury dla dzieci, jest po prostu zarzutem niesłusznym i spróbuje tutaj w tych dwóch partiach w zakresie literatury przekładowej i w zakresie literatury dziecięcej te rzeczy omówić. Otóż monopolizacja w zakresie wydawania literatury dla dzieci przez „Ruch” który jest centralną instytucją, a więc w myśl owych założeń ma wszystkie dane, aby jak najlepiej, najpiękniej, najpoprawniej wydawać — nie spełnia w żadnym razie tego zadania. Jest to instytucja, która na szeroka skalę w ogromnych masowych nakładach utrwała teksty nie najlepsze graficznie na b. lichym papierze. Jedyna ich zaleta to niska cena.

Nie ponosi ono winy za niedowład w zakresie problematyki współczesnej, ponieważ nie posiada dostatecznych funduszy na inspirowanie i zamawianie potrzebnych prac. Wreszcie ostatnia sprawa: to co jest i po winno być w jakiejś mierze dumą Wydawnictwa Łódzkiego. Czyby nie wydawać serwisu prac naukowo-historycznych związanych z Łodzią, który wychodziłby w określonym formacie, w wielkim zaplanowanym cyklu? Kończąc wracam do pierwszego sformułowania: czy samodzielność Łódzkiego Wydawnictwa jest możliwa? Uważam, że jest absolutnie możliwa i że nasze wolańie o rozszerzenie profilu jest wolańiem o rzeczywistą egzystencję.

ALEKSANDER POSTOŁOW: Nie można mówić o braku rozwoju Wydawnictwa, jeśli Wydawnictwo zaczęło z niecałymi 300 arkuszami, a w tej chwili wydaje 600 arkuszy rocznie. Przede wszystkim zwiększyło ono możliwości wydawnicze na odcinku literatury pięknej: prozy i poezji. I ucieczka, jeżeli taka istnieje, nie tym jest spowodowana. Zresztą nie można nazwać sporadycz-



Istnieje u nas grupa ludzi (kol. kol. Brucz, Koprowski, Piechal, Sikirvicki, Gicigier, Huszcza, Chrościelewski, to czasem jestem ja), którzy tłumaczą z literatury rosyjskiej, francuskiej, niemiecko-austriackiej, jugosłowiańskiej. Zrobiliśmy na zamówienie PIW tom wierszy Presena pod redakcją Mariana Piechala. W tej chwili przygotowaliśmy tom Georga Trakla pod redakcją Jana Koprowskiego, w większości siłami naszych łódzkich tłumaczy. Twierdzenie jakoby otwarcie działu przekładowego było uzależnione nie od grupy przekładowców, a od redakcji, która się tym interesuje, jest twierdzeniem przynajmniej w polowie fałszywym. Otóż na podstawie naszych orientacji możemy stwierdzić, że książki, obce, które się ukazują, nie zawsze świadczą o takim znakomitym rozeznaniu produkcji wydawniczej trzech krajów: NRF, Austrii i Jugosławii. Nawet tak poważny argument, że i Wydawnictwo Literackie nie prowadzi tego działu, jest argumentem nieważnym, nie rozstrzygającym sprawy na korzyść wypowiadającego ów argument. W tej chwili toczymy wstępne rozmowy o wydawaniu antologii opowiadań pisarzy austriackich z Wydawnictwem Poznańskim. Dlaczego z Wydawnictwem Poznańskim? Bo oni mają taką redakcję. Wreszcie sprawa klasyków, która podobna jest do sprawy przekładów. Trzeba sobie tu uściwić i szczerze powiedzieć: sprawy przekładów, sprawy literatury dziecięcej są niekiedy podzbyte

nych wyjazdów z Łodzi jakąś ucieczką. W latach 1950-1954 mieliśmy taką ucieczkę, ale nie teraz. Jeśli chodzi o środowisko łódzkie, można powiedzieć, że się ostatnio skonsolidowało, że powstało środowisko prozaików, a nie można mówić o jakimś upadku. Natomiast można mówić, co mi się wydaje słusznym, o pewnym niedostyciu, o pewnym braku możliwości rozwoju środowiska. Skąd pochodzi ten niedostatek? My jako Wydawnictwo jesteśmy w znacznym stopniu w lepszej sytuacji, niż cały szereg innych regionalnych wydawnictw. Każde regionalne wydawnictwo ma swoją specyfikę. Jest np. Wydawnictwo Morskie, które posiada monopol na bogatą tematykę morską. Podobnie przedstawia się sytuacja na Śląsku. Śląsk stosunkowo mało wydaje literatury pięknej, za to publikuje dużo fachowej literatury górniczej. Również podobnie jest w Wydawnictwie Poznańskim, które specjalizuje się w niemiecoznawstwie. I jest kilka wydawnictw, które nie posiadają swojej specyfiki. Skąd ma ja wziąć ten profil, skoro charakter miasta, charakter środowiska nie mają takiej specyfiki. Chyba, że sta niemy się wydawnictwem Ministerstwa Przemysłu Lekkiego. Lecz do tego wcale nie dążymy. Trzeba mówić o tym, jak zapewnić stopniowy rozwój niektórych dziedzin, to znaczy o próbach tego rodzaju.

JAN KOPROWSKI: Dyskusja potwierdziła naszą zgodność co do sprawy zasadniczej i podstawowej: że Wydawnictwo Łódzkie może rozwi-



do wyraźnie rysującego się kanonu wydawniczego. U nas w Łodzi sytuacja jest odwrócona. Nie ulęga wątpliwości, że nie chcemy odbierać „Naszej Księgarni” priorytetu na wydawnictwa literatury dziecięcej i w związku z tym podważać jakichś zasad poprawności tych wydawnictw, ale z drugiej strony nie można sprowadzać wydawnictw w skali ogólnopolskiej do formy monopolu. Skoro rachunek ekonomiczny w ostatniej instancji decyduje o autonomiczności wydawnictwa, to sadze, że powinny się znaleźć jakieś luzu polegające na danlu wydawnictwa większej swobody działania. A o ile ów rachunek ekonomiczny nie rozstrzyga i głos decydujący posiada polityka kulturalna to znaczy, że „Wydawnictwo Łódzkie” preferuje pewien typ wydawnictw — musi do tego w jakiś sposób dokładać. Wówczas problem wymaga generalnych i szerszych dyskusji. Stawiam pytanie — czy istotnie „Wydawnictwo Łódzkie” jest instytucją samowystarczalną w związku z tym za rzekomo wydawnicze może ponieść odpowiedzialność? Potem przejdziemy do sprawy profilu, który jest bądź w jakimś stopniu kierowany ew. narzeczony bądź wynika z potrzeb samego środowiska.

HALINA OLACZEK: To jest pytanie, które nie wymaga odpowiedzi ze względu na to, że działy, które proponuje się do wprowadzenia nie mogą być działami deficytowymi, winny dać wydawnictwu zysk. Jeżeli coś przynosi deficyt, to przede wszystkim tomiki poezji. Rozszerzenie działów, o których była mowa, może tylko spowodować korzystniejszą dla wydawnictwa sytuację, sytuacji, która dzięki zyskom tutaj zdobytych, pozwoli bardziej rozszerzyć dział poezji do którego się dokłada. Wydaje mi się, że tu nawet nie chodzi o to, czy w interesie miasta leży rozszerzenie profilu Wydawnictwa. Wydaje mi się, że w modelu kulturalnym, jaki u nas mamy, jest nie do pomyślenia, żeby wszystko było scentralizowane w Warszawie. Twierdzenie p. Heleny Zatorskiej, że w Łodzi nie ma przygotowanych redaktorów którzy by mogli udźwignąć to zadanie, wydaje mi się mało uzasadnione. Swofego czasu w Łodzi było duże środowisko poetyckie i należało do ryzyka uruchamianie w naszym Wydawnictwie działu prozy, bo kto będzie pisał. Ale właśnie fakt, że powstała redakcja literatury pięknej z przedstawieniem przede wszystkim na prozę sprawiło, że wielu naszych poetów ujawniło swoje możliwości prozatorskie. Dziś mamy w Łodzi wielu znanych prozaików. Do nich dochodzą młodzi debiutanci. Wiecej na pewno jest tak, że istniejące środowisko tworzy zapotrzebowanie. Ale o wiele bardziej istotne, że stworzone możliwości powodują two-

ku nie waży tak, jakbyśmy chcieli. Trzeba sięgnąć po takie problemy, które mogą podnieść rangę kulturalną Łodzi w skali kraju i byłoby celowe, aby oprócz literatury pięknej, zwrócić baczniejszą uwagę na sprawy kultury, socjologii i dziejiny pokrewne.

ALEKSANDER POSTOŁOW: Chciałabym wyjaśnić, że w Polsce jest za ledwie kilka wydawnictw, które nie są dotowane i pokrywają na zero straty innych wydawnictw. Są to wydawnictwa które mogą wydawać literaturę angielską, amerykańską, kryminały, natomiast inne wydawnictwa mają dotacje, nasze również. Ale trudność polega nie tylko na tym, że my wydajemy poezję, która idą najwyżej w nakładzie 500 egz. Powieść współczesna również bardzo trudno znajduje sobie, czytelnika. Pozycja wydawnicza przynosi zysk, gdy przekracza 10 tys. nakładu. Zauważyliśmy ostatnio w ruchu wydawniczym olbrzymie remanenty — czynimy najrozmaitsze wysiłki w docieraniu do czytelnika. Dochodowym są pozycje dla młodzieży i dla dzieci i na ogół klasyka. Zezdam się z tow. Halina Olaczek. Ja także myślałem o interesie środowiska nie w tym sensie, że środowisko już mamy, ale w interesie jego rozwoju i rozwoju kultury łódzkiej: zacząć po mału wydawać i stwarzać w ten sposób jakieś pole do rozwoju środowiska w różnych kierunkach. Jeśli chodzi o literaturę społeczno-polityczną, to istotnie, mamy jedną ciekawą pozycję Moniki Warneńskiej. Do socjologów łódz-

kich jeszcze nie dotarliśmy, oni zresztą prowadzą badania bardziej cząstkowe. Ale wydaliśmy ciekawą tom „Awans kobiety” i rzecz ta została zauważona. Cały szereg dziedzin, poza historią kultury i historią teatru czeka na podjęcie. Zamierzamy rozszerzyć wachlarz tematyczny tej redakcji. Redakcja jest b. młoda i to zupełnie naturalne, że zwróciła przede wszystkim uwagę na historię i tradycję. To, o czym mówi p. Helena Zatorska — mianowicie, że przeszłość w naszym Wydawnictwie potraktowana została za szeroko, to akurat z tego nie można nam robić zarzutu.

MICHAŁ KUNA: Jakże remanenty macie przeciwnie w Składnicy Księgarskiej?

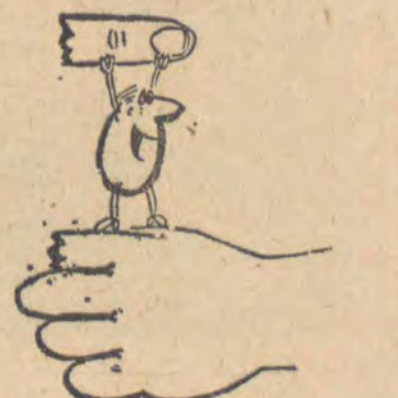
jest skazany na jakiś cząstkowy udział w tworzeniu wartości humanistycznych. Wydaje mi się, że to analogie można chyba odnieść i do spraw wydawnictwa i w naszych rozumowaniach i rozważaniach zagra ona pełnym blaskiem. Jak się w zasadzie przedstawiają siły i środki w zakresie owych trzech wspomnianych działów? Zaczniemy od dzieci. Sadzę, że istnieją u nas szanse, aby taki dział stworzyć. Obawy realizatorskie o drugorzędna wartość oraw ilustracyjnych czy o drugorzędna wartość reprodukcji są nieistotne, bo i centralne wydawnictwa wydały rzeczy w pełni wartości estetycznej, jeśli chodzi o szatę graficzną. Jestże zespół autorów, którzy moim zdaniem, tylko



prywatą, która się wyraża w monopolizowaniu tych działów przez grupę ludzi trudne niekiedy do przelamania. Sadzę, iż nikomu by chyba nie zaszkodziło, gdyby nasze wydawnictwo „miało” jednego przy najmniej klasyka czyli trzeba wywracać coś z paszczy innych wydawnictw, lub też uzyskać prawo wznawiania kilku pozycji. Dajmy na to: wszyscy interesują się Reymontem, przydzielmy Wydawnictwu Łódzkiemu prawo wydawania „Chłopów” i „Ziemi obiecanej”. Od kilku tygodni siedzę nad rekopisami reymontowskimi i muszę stwierdzić, że wydanie Zygmunta Szejnkowskiego jest wydaniem niby krytycznym, a okazuje się, że nie, ponieważ w świetle rekopisów, które czytałem, istnieją poważne luki, stawiające tego czełogodnego profesora trochę w dziwnym świetle. Otóż jest to paradoksem i pewnym skandalem, że Reymont, pisarz wielkiej rangi, jest absolutnie nieznanymi. To jest terra incognita. Nasz ośrodek uniwersytecki zainicjował szereg prac w związku z Reymontem i staranie się o jeden przynajmniej tytuł wydawniczy w tym zakresie znalazłoby poparcie nie tylko nas tu obecnych, ale i całego łódzkiego środowiska. I jeszcze jedna sprawa, sprawa która bardzo trafnie i głęboko poruszyła tow. Olaczek: sprawa przesunięcia punktu ciężkości na wydawnictwa typu historycznego. Usprawiedliwiłbym tu Wydawnictwo w pewnej mierze oczywiście,

jać się jedynie w oparciu o coraz pełniejszy, coraz bardziej uniwersalny program wydawniczy. Tak więc na nasze pytanie, postawione na początku, czy rozszerzenie profilu jest możliwe, otrzymaliśmy odpowiedzi: nie tylko możliwe, ale wręcz konieczne. Sadzę, że o tym, co dla nas, ludzi bezpośrednio zainteresowanych sprawami polityki wydawniczej jest bezsporne, ale co u wielu mogło budzić wątpliwości i niejasności, winniśmy poinformować szerszą opinię publiczną. Albowiem sprawy wydawnicze, możliwości wydawnicze naszego miasta interesują całe kulturalne społeczeństwo.

Dziękuję Państwu za cenny i aktywny udział w rozmowie.



Powieść Jana Czarnego

„Albinos” jest pierwszą powieścią Jana Czarnego. Do tej pory ukazało się już o niej kilka recenzji, przeważnie bardzo pochlebnych. Jestem w kłopotach. Ja też chcę o tej książce napisać pozytywnie, ale czy uwierzą mi Czytelnicy, gdy powiem, że się niczym sądem nie sugerowałem, że jest to mój własny sąd od początku. Nie mogę im (Czytelnikom) dać na to żadnego dowodu, prócz słowa honoru. Na drugi raz trzeba pisać szybko i nie czekać, aż inni nas uprzedzą.

„Albinos” jest powieścią współczesną i nowoczesną. Współczesna to znaczy, że dzieje się dziś i teraz. Nowoczesna ponieważ odbiega od znanego wzorca fabularnych. W sensie zdarzeniowym dzieje się w „Albinosie” niewiele. Spróbujmy te powieści streścić. Do gimnazjum w małym miasteczku przyjeżdża znany pisarz na spotkanie autorskie. Narrator, młody uczeń i początkujący poeta w jednej osobie, słucha znanego pisarza jak objawienia, jest zafascynowany nim i jego twórczością. Przypadek przychodzi uczniowi z pomocą: odprowadza znanego pisarza na dworzec kolejowy, pokazuje mu nieśmiało swoje próbki poetyckie, o których „mistrz” wypowiada kilka za chętnych uwag.

Niebawem młody uczeń, po skończeniu gimnazjum w małym miasteczku, przyjeżdża do wielkiego miasta, w którym mieszka pisarz, aby zdawać egzamin na wyższą uczelnię. I od tego momentu zaczyna się poszukiwanie Albinosa (tak młody adept nazywa znanego pisarza, ze względu na jego bardzo jasne włosy). Cała powieść jest właściwie historią poszukiwania pisarza — bohatera. Ale narrator nie może go nigdzie znaleźć. Za chodzą do jego mieszkania, idzie do tych, którzy go znają, przemierza całe miasto za swoim ideałem — bezskutecznie. Aż pewnego dnia dowiaduje się, że Albinos umarł. Oczywiście idzie na jego pogrzeb. „Zegnaj Albinosie, już nigdy się nie zobaczymy”, mówi stojąc wraz z innymi nad mogiłą pisarza. Tak jest zdarzeniowy zarys powieści Jana Czarnego.

Ale te poszukiwania pozwalają autorowi, po pierwsze: pokazać swoisty pejzaż wielkiego miasta, jego ulice, domy i podwórka (jasne, że

chodzi o Łódź), a po drugie: przedstawić nam galerię znanych pisarzy, wśród których znajdują się znakomite okazy. Nie trudno się domyślić, że tu i ówdzie chodzi o znanych artystów, najczęściej zresztą już nieżyjących. Otóż tej galerii należy Janowi Czarnemu pozazdrościć. W paru kreskach niekiedy w krótkiej wypowiedzi czy rozmowie lub opisanie czynności zdołał zawrzeć pełny portret psychologiczny człowieka, który wdraża się w pamięć, podbija urokami i niezwykłością scenarii, Pan Mystka, Albinos Drugi, Stolarz a zwłaszcza i nade wszystkie Gosh to postaci, których się nie zapomni.

Ale gdyby tylko tyle zawarł Jan Czarny w swej powieści, nie stanowiłoby to pełnego tytułu do chwały. Rzecz polega na tym, że ci ludzie, te wydarzenia wmontowane w obraz fabularny, potrzebne były autorowi, po to, aby przeprowadzić rzecz inną, ważniejszą: poszukiwanie najwyższej miary moralnej, wzorca etycznego symbolu. Młody poeta, zapierzony w swój niedościgły wzór, idzie za nim jak śma za światłem. Im dłużej trwa poszukiwanie, tym większy, tym piękniejszy staje się obiekt poszukiwany. Wizja opromienienia kształt niedościgły, wyolbrzymia go do rozmiarów mitu. Człowiekowi potrzebny jest mit. Ale czy śmierć Albinosa nie oznacza, że mit, którego szukamy, nie istnieje? Że istnieje na tylko w naszej wyobraźni, w naszym marzeniu? Że naszym ludzkim celem jest stałe poszukiwanie doskonałego kształtu życia i że często poszukiwaniom tym towarzyszy klęska?

„Albinos” jest także satyrą na środowiska artystyczne, na ich nieszczerłość, cynizm, na płaski konformizm. Albinos wypełnia narratorowi pewną lukę w jego własnym świecie. „Bo może po prostu nie chodzi o Albinosa”. „Może on jest tylko symbolem tego, czego w życiu mi brak”. (Str. 71).

„Albinos” napisany jest zwięźle, dobrą polszczyzną. Język Czarnego ścisły, konkretny, na całe szczęście — nie przemetaforizowany, zaleca się potocznością i prostotą. Ale „Albinos” byłby książką jeszcze lepszą, gdyby nie przedostały się do niej rezerwskie umoralniające złote myśli. Nie jest tego w powieści wiele, ale gdyby ich wcale nie było, książka Czarnego stałaby się doskonałą. „Poznać człowieka nie tak łatwo, ale najłatwiej kogoś potępić, zanim się go pozna” (str. 112) lub „A to nie takie łatwe powiedzieć choć trochę prawdy o życiu” (str. 82). Są to prawdy powszechnie znane i dlatego w odkrywczej powieści, jaka jest „Albinos” — niepotrzebne.

Jan Czarny — „Albinos”. Wydawnictwo Łódzkie, str. 126, r. 1967.

Nasze sarmackie oblicza

Wystawa ta przeszła niemal niepostrzeżenie. Portret sarmacki nie jest już widocznie tematem frapującym — stąd cicho o tym w prasie, tak jak cicho jest w muzeum, gdzie zgromadzono kilkadziesiąt przykładów niezwykle interesującego polskiego malarstwa portretowego XVII—XVIII w. Nie naci już sarmatyzm, staliśmy się bardziej europejscy. A — jak wiadomo — okres objęty ową nazwą, zajmuje w dziejach naszej kultury specjalne choć niewielkie miejsce. Była to bowiem mocno naiwna, ale chyba pierwsza ucieczka od wpływów kulturowych z zewnątrz. Takie były przynajmniej pobożne życzenia głosiceli sarmatyzmu, będące reakcją na (skąd my to znamy) melancholijne zapatrzenie ku zachodowi...

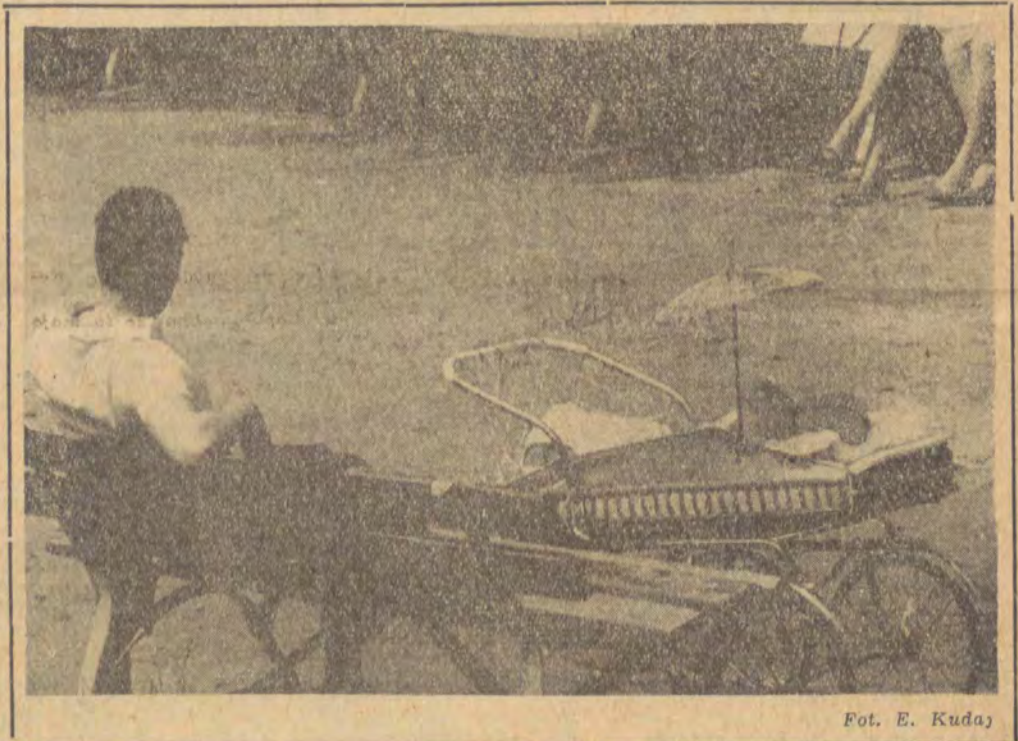
Jest to — wydaje się — pierwsza próba pokazania na jednej wystawie malarstwa dzieła portretowego tego okresu w szerokim zakresie. Próba tym bardziej godna podkreślenia, że sprowadzono na wystawę obrazy z rozszanię po kraju muzeów regionalnych, a także wiele badawczych własności klasztorów i parafii, a więc szczególnie mało dostępnych dla oka potencjonalnego konsumenta sztuki. Monotematyczna ekspozycja pomyślana została przez organizatorów szeroko, może czasem szerzej niż temat, mimo, że zabrakło poza jednym wyjątkiem, tak charakterystycznego portretu całopostaciowego. Na dobrą sprawę prezentowane obrazy dałyby się zaliczyć do kilku przynajmniej stylów i orientacji malarzkich. Jest to raczej przegląd poczynając od bardzo prymitywnego malarstwa cechowego poprzez sorawny portret rzemieślniczy, a potem artystyczny z dominacją linii nad cieniem i plama barwną, aż do wyrafinowanej sztuki, której ojczyzna na pierwszy rzut oka, mogłaby być np. ówczesna Anglia. Dlatego też różnorodność zgromadzonych portretów jest tak wielka, że bezcelowe stałe się jakiekolwiek ich wartościowanie w krótkiej recenzji. Dla mnie najciekawsze wydają się być portrety pochodzące ze szkoły czysto polskiej — surowe, odznaczające się prostym opisem malarzkim portretowanej osoby, z wyraźną i zdecydowaną przewagą elementów linearnych nad grą cienia i tonacją kolorystyczną. Nie ma w nich upiększeń i stylizatorskiej kokieterii. Z obrazów wyglądają tu twarze zwyczajne z ich powabami i defektami, często skarykaturowane groteskowo. Przykładem może służyć doskonały portret Mikołaja Potockiego

Portret dworski reprezentowany pokazanie na wystawie, nie ma już na sobie

tego piętna sztuki innej. To malarstwo związane już jest z zachodnioeuropejskim wizerunkiem artystycznym epoki, słowem — z modą. Jasne więc jest, że związek portretu dworskiego z sarmatyzmem jako kierunkiem w sztuce polskiej — jest dość daleki i w pewnym sensie umowny. W zamian za to portret ten zyskał na bogactwie w środkach wyrazu, stał się finezyjny. Mimo tych zmian jest to jednak malarstwo bardzo polskie, bez względu na to, czy będą to mocne barokowe portrety osób z otoczenia Jana Sobieskiego, czy też delikatne i wyraźnymi wpływami rokoka portrety „Dam w zielonych sukniach”. Jest bowiem coś, co łączy te wszystkie proste i manieryczne szorstkie i wyrafinowane w kształcie artystycznym obrazy.

Łacza je twarze — takie, jakie widzi się co dzień — zwykłe polskie twarze. I dlatego dla Polaka wystawa ta daje możliwość poznania swoich krewnych sprzed dwóch wieków. Oglądając te twarze przeciętne, piękne, brzydkie, młode i stare, ważne i nieśmiałe — wiemy, że przynajmniej na obliczach nie zmieniły się. Są to portrety naszych polskich krewnych z ich wadami i zaletami, które plątny artysta zaprezentował bez znużenia oka. I to bez względu na poziom i miejsce w społeczności zajmowane przez portretowaną osobę. Jest więc piękny realistyczny portret kasztelana Jana Kretkowskiego, popstrzony w tle dużym i wymownym spidem wszelakich godności i tytułów oraz posadanych włosów. I jest prymitywny mocno i szkieletowy wizerunek niejakej pani Piwo sporządzony przez początkującego mistrza Faworskiego. Wokół papierowej postaci biele-

4 Portret sarmacki XVII—XVIII w. Muzeum Sztuki w Łodzi, Maj—czerwiec 1967 r.



Fot. E. Kudaś

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



3 „Oscary” za rok 1965 (najlepsza aktorka, najlepszy scenariusz, najlepsze kostiumy w filmie czarno-białym), 4 nagrody Brytyjskiej Akademii Filmowej za rok 1965, 3 nagrody krytyki nowojorskiej, dyplom honorowy dla Julie Christie (odtwórczyni tytułowej roli) na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie oraz 2 nagrody prasy amerykańskiej otrzymał film Johna Schlesingera pt. „DARLING”. Rzadko zdarza się taka zgodność w ocenie filmu przez krytykę różnych krajów reprezentująca odmienne upodobania i kierunek całe rozmaite kryteria wartościujących. Jest to więc z pewnością miara naprawdę wielkiego uznania i wysokiej oceny walorów artystycznych.

„Darling” to angielskie „Słodkie życie” — tak najkrócej można by

Jeszcze jeden nowy film polski. Lato tegoroczne obfituje w premiery wyjątkowo „ogórkowe”. Dobrze, że chociaż mamy pogodę, która łagodzi nieco uczucie niesmaku po dwugodzinnym przemęcie niu się w kinie. Kto meczy się na „ZWIAROWANEJ NOCY”? Jest to film sensacyjno-przyrodowy adresowany ponoć do młodzieży. Tak przy najmniej zapewniali jego reżyser Zbigniew Kuźmiński. Jest

scharakteryzować film Schlesingera. Oczywiście pokazane w sposób znacząco bardziej tradycyjny, z wyraźnymi inklinacjami w stronę melodramatu oraz noszące ślady dokumentalnej praktyki i upodobania reżysera. Niezmiernie trudno byłoby określić gatunek tego filmu. Jest w nim coś z komedii, ale i dramatu społecznego a nawet satyry obyczajowej, coś ze studium psychologicznego, ale i melodramatu zarazem. W zależności od przyjętego punktu widzenia można „Darling” odczytywać rozmaicie. Film — prowokuje zresztą do takiej wielopłaszczyznowej, a więc niejednoznacznej interpretacji. Jest opowieścią o losach pewnej angielskiej dziewczyny, której powiodło się w życiu — zdobyła to, o czym marzy większość nastolatków wychowanych na filmie i mitach stworzonych przez kulturę masową. To kościec fabularny filmu.

Mocny i niezawodny. Jest w nim miłość i niewierność, powroty do siebie i odrzucenia, rozwody i przewartościowanie. Książę odwołujący się o rękę gwiazdy filmowej i homo seksualis. Wszystko to w zamkniętym kręgu społecznym ludzi związanych ze światem filmu i telewizji, warstwy uprzywilejowanej finansowo, nieco zwiarowanej i kompletnie zepsutej, żyjącej w atmosferze wewnętrznej pustki, znudzenia sobą i światem. Tej pustki i nudy nie są w stanie wypełnić i rozładować nawet najbardziej wyrafinowane orgie. Nad wszystkim zawisła beznadziejność. Z doświadczenia światła przy padkiem bohaterka. Zdobędzie sławę, dobrobyt, powodzenie. Droga za to zapłaci: swą jedyną prawdziwą miłością, swoim szczęściem. Chwilowe przelotne zadowolenie — to tylko można w nim uzyskać. Na dnie wszystkiego jest jednak gorzka, ni-

cość, samotność i bezsilność. Obserwacja psychologiczna Schlesingera idzie w parze z ironią spojrzenia na prezentowanych ludzi i ich sprawy. Jest w jego filmie ton osobisty: „Darling” jest relacją bohaterki o samej sobie. Zewnętrznie określa te ostatnie jej postępowanie. A równocześnie ton ironisty w sposobie prezentacji ludzi i świata daje poczucie dystansu — to ingerencja ukrytego narratora w subiektywny świat bohaterki. Połowe swego sukcesu „Darling” zawdzięcza chyba odtwórczyni tytułowej roli Julie Christie. Rzadko można zobaczyć na ekranie grę aktorską tej miary. Julie Christie jest po prostu wspaniała. Kto wie, może gdyby nie ona, film byłby banalny w gruncie rzeczy i nie pozabawiony pływacz?

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

KRYZYS KINA W ANGLII

Liczba widzów w kinach brytyjskich zmniejszyła się o 9 procent w okresie od marca 1966 do marca 1967.

W tym samym czasie liczba sal kinowych zmalała z 1.975 do 1.851.

NAGRODA IM. PAUL VAILLANTA-COUTURIERA PRYZNANA RAYMONDOWI JEAN

Ufundowana niedawno nagroda im. Paul Vaillanta-Couturiera przyznana została po raz pierwszy w tym roku. Otrzymał ją Raymond Jean za powieść pt. „Le Village” (Wioska).

Tematem nagrodzonej powieści jest wojna w Wietnamie, a właściwie dwie wojny, bo autor osiągnął także do okresu kiedy Wietnamczycy walczą przeciwko kolonializmowi francuskiemu.

„To bardzo piękna i wielka książka — pisze o niej recenzent „Humanité Dimanche” — warta jest w niej pasja,



poezja i czułość”. „Wspomniała książka — tak określa ją André Stil na łamach „Humanité”, a Pierre-Henri Simon mówi o „Le Village” że jest to „dzielo ważne, aktualne i szlachetne”.

Raymond Jean laureat Prix Paul Vaillanta-Couturiera jest z zawodu profesorem literatury w miejscowości Aix-en-Provence.

MITY JAKO ŹRÓDŁO INSPIRACJI LITERACKIEJ

XXX Międzynarodowy Kongres PEN Clubu odbędzie się z końcem lipca w Abidżanie, stolicy

Republiki Wybrzeże Kości Słoniowej.

Tematem obrad Kongresu będzie: „Mity traktowane jako źródło inspiracji w literaturze”.

W 50-LECIE ŚMIERCI RODINA

W tym roku mija 50 lat od śmierci wielkiego rzeźbiarza Auguste Rodina. M. in. w Rzymie odbywa się wystawa dzieł



Rodina zorganizowana przez Akademię Francuską przy współpracy Narodowej Galerii Sztuki Nowoczesnej.

FILM W KRAJACH ARABSKICH

Jeden z ostatnich numerów „Cinéma” przynosi informacje o coraz większym zainteresowaniu własną produkcją filmową krajów arabskich. I tak np. w Tunezji powstał pierwszy film długometrażowy całkowicie zrealizowany przez ekipę młodych filmowców tunezyjskich. Film ma tytuł „Al Fajr” (Świt) i według tygodnika „Cinéma” jest dużym sukcesem młodej kinematografii tunezyjskiej. Reżyserem tego filmu jest trzydziestotrzyletni Omar Khelifi, który studiował w Tunisie i we Francji. Ma on ponadto w swym dorobku kilka filmów krótkometrażowych.

Husein Kamal nakreca w ZRA film pt. „Al Bostagui” (Listonosz) według powieści egipskiego pisarza nazwiskiem Yehia Hakkil. Akcja filmu rozgrywa się w roku 1980. Pewien młody urzędnik pocztowy, któremu nadmiernie ciąży samotność oraz jednostajność życia prowincjonalnego, wpada na pomysł

otwierania i czytania cudzej korespondencji.

Algierski twórca filmu „Wiatr z Aures” Mohamed Lakhdar-Hamina wyraził opinię, że nie uznaje on za filmy afrykańskie, choć są kręcone w Afryce, filmów realizowanych przez Europejczyków lub Amerykanów. Jest on ponadto przeciwny tradycjonalnej formie tych filmów, niby arabskich, których główną treścią są opisy taniec i śpiewaków na tle nieprawdopodobnych, sentymentalnych historyjek. Takie filmy produkuje głównie Hollywood. Film Mohameda Lakhdar-Hamina przedstawia dramatyczną historię chłopskiej rodziny w Algierii.

KARTY DO GRY

„W waszych bagażach, które zabieracie z sobą na wakacje nie zabraknie z pewnością talii kart” — pisze „Humanité Dimanche”. „Talia kart będzie waszym pożytecznym towarzyszem podczas godzin odpoczynku na wsi, przyda się zwłaszcza w dni deszczowe, bo ludzie grają, będą grali i grywali w karty. Od jak dawna jednak?”

Początki gry w karty do dziś dnia są mało znane — pisze „Humanité Dimanche”. Karty podobnie jak gra w kości czy w szachy istniały od bardzo dawna. Wywodzi się z Egiptu, przysięgła się Egipcjanom, gry w szachy — Chifczykom. Wiadomo nam jedynie, że karty były w użyciu na 1.000 lat przed naszą erą w Hindustanie. Przypuszcza się, że podróźnicy przywieźli karty do gry z Dalekiego Wschodu najpierw do Włoch, Europejskie dokumenty dopiero w XIV wieku mówią o kartach. Oto w roku 1381 gra w karty została zabroniona przez władzę w Marsylii, bowiem zdaniem teściu władzy karty były powodem niekolejów i zaburzeń. Wiemy także, że Karol VI porażony słowami choroba bawił się kartami w towarzystwie swej przyjaciółki pięknej Odette de Chambriviers. Karty te przywołał dla francuskiego króla artysta malarz. Oczywiście gra w karty w średniowieczu wyglądała zupełnie inaczej niż dzisiejsza. Wów-

czas symbolizowała wojnę. Asy (od nazwy rzymskiej monety) miały wartość najwyższą, kolor kiero symbolizował morale walczących, kara i piki oznaczały walczące armie, a trefle były symbolem furazju, niezbędne dla wojska. Były też inne gry z inną interpretacją kolorów. I tak kiero oznaczały kler, piki — szlachtę, trefle — chłopów, a karo — mieszczan.

Jak wytwarzano w średniowieczu karty nie wiemy. Wiadomo jedynie, że wykonywano każdą kartę oddzielnie, ręcznie. Później w XV wieku,



gdy gra się rozpowszechniła, sporządzano drewniane sztalnie i odbijano karty w sposób taki w jaki się robi dzurorty. Przez jakiś czas utrzymywało się mniemanie, że to właśnie rzemieślnicy wyrabiający karty do gry dali początek drzeworytnictwu w sztuce. Ostatnie jednak badania wykazały, że pierwsze drewniane sztalnie powstały w celu drukowania tkanin. Dopiero w roku 1850 zaczęło używać do wyrobu sztalnie nie drzewa lecz metalu.

Jeszcze w wieku XV zawód wytwórcy kart do gry nie był wyodrębniony. Ludzie ci należeli do wspólnego cechu z iluminatorami manuskryptów i malarzami obrazów. Do piero w 1594 roku wytwórcy kart do gry stwożyli własny cechowy związek.

Ciekawy jest wpływ wydarzeń historycznych na wyobrażenie postaci umieszczonych na kartach. I tak np. jako królowie występowali częstokroć aktualnie panujący władcy, następcy tronu i księżta. Dochowała się do naszych czasów inna talia gdzie królem kierowym jest Karol Wielki, karowym — Cezar, treflowym — Aleksander Wielki, pikowym — biblijny Dawid. W czasie Wielkiej Rewolucji francuskiej i później, królowie zamiast koron noszą czapki frygijjskie. W innej talii z tego okresu czasu królów zastąpiono mędrcami filozofami, królowe postaciami symbolizującymi obywatelskie cnoty, a waleki zastąpione zostały przez postacie wyobrażające ludzi dzielnych i patriotycznych. W innej znów talii zamiast królów i królowych widzimy bogów i boginie z Olimpu.

Warto zaznaczyć, że paryska Biblioteka Narodowa posiada specjalny dział kart do gry, gdzie znajduje się wiele starych sztalni, talii oraz bogata literatura dotycząca gry w karty. Jest to najbogatsza kolekcja tego rodzaju na świecie.

PARYSKI TEATR „ODEON” NIE WEZMIĘ UDZIAŁU W ATENSKIM FESTIWALU

Zespół teatru „Odeon” łącząc z dekoratorem i kompozytorem zdecydował nie brać udziału w tegorocznym festiwalu sztuk teatralnych jaki odbędzie się w Atenach. Decyzja ta została podjęta w związku z tym, że obecny rząd grecki dokonuje skandalicznego oceniania sztuki jako „podburzających” sztuk Sofoklesa, Aischylosa i Arystofanesa.

WYSTAWA HUGH AUDEN LAUREATEM AUSTRACKIEJ NAGRODY

Poeta i dramaturg angielski W. H. Auden otrzymał nagrodę państwową Austrii w dziedzinie literatury europejskiej.

Przypominamy że zeszłorocznym laureatem tej nagrody był polski poeta Zbigniew Herbert.

Wystaw Hugh Auden urodził się w roku 1907 w York w Anglii. Walczył przeciw gen. Franco w Hiszpanii. Był wykładowcą w Anglii. Od 1938 roku wykłada w Stanach Zjednoczonych.

Wakacje spędza każdego roku w małej wiosce austriackiej Kirchstetten. Auden ożenił się z córką Tomasza Manna.

ZMARŁA ALBERTYNA SARRAZIN

Dwukrotnie na tym miejscu pisaliśmy o Albertynie Sarrazin i jej książkach. Los powieściopisarki przypomina tragiczną powieść, w której bohater uporem i talentem wyzwala się ze swej kryminalnej przeszłości, a gdy pokona wszystkie trudności i przeciwności, gdy uśmiechnie się do niego życie — umiera.

Sarrazin zmarła 10 lipca w czasie dwugodzinnej operacji usuwania nerki. Albertyna Sarrazin urodziła się w 1937 roku w Algierze jako córka piętnastoletniej Hiszpanki i ojca Araba. Wychowała się w rodzinie francuskiej, z której uciekała. Mając lat 16 została zatrzymana przez policję za włóczęgostwo. Gdy ma lat 18 skazana zostaje wyrokiem sądu na 7 lat więzienia za napad na sklep, którego dokonano z koleżanką uzbrojona w rewolwer. W więzieniu Albertyna uczy się i zdobywa z wynikiem dobrym maturę. Ucieka następnie z więzienia. W czasie ucieczki, gdy zeskakuje z więziennego muru łamiąc kostkę stopy (astragal). Na drodze, utykając na chorej nodze, spotyka mężczyznę, Juliana, który opiekuje się uciekinierką, przekazuje ją do szpitala i leczy za pieniądze zdobyte z... włamań. Bowiem Julian jest włamywaczem. Po wyjściu ze szpitala Albertyna i Julian dokonują wspólnie kradzieży. Wedrują następnie do więzienia. Tam biorą ślub. Albertyna pisze książki, Julian uczy się zawodu geologa. Albertyna po wyjściu z więzienia pracuje początkowo jako sprzedawczyni. W tym czasie ukazują się w druku jej książki pisane w więzieniu „La Cavale” (Ucieczka) i „L'Astragal” (Ucieczka). Obie powieści stają się sensacją paryskiego sezonu wydawniczego. Sarrazin zdobywa pieniądze i rozgłos. Zaczyna się nowa życie u boku męża, Juliana, który pracuje po wyjściu z więzienia jako pomocnik geologa. Wkrótce ukazuje się trzecia książka Albertyny „La Traversière” (Prześcież). W styczniu bieżącego roku Sarrazin poddaje się operacji nerek. Wkrótce przechodzi operację wyrostka robaczkowego. Ostatnia operacja 10 lipca, usunięcia nerki, kończy się tragicznie. Albertyna Sarrazin umiera w wieku lat 30.

POLONICA

PISMO FRANCUSKIE O JERZYM ZAWIEYSKIM

Paryski tygodnik „Les Nouvelles Littéraires” z 9 lutego 1967 przynosi wywiad z Jerzym Zawieyskim. Stwierdzono tu na wstępie, że Zawieyski jest autorem licznych powieści, opowiadań i esejów, a przede wszystkim wybornym autorem dramatycznym. Jest także — wielkim przyjacielem Francji.

„We wszystkich prawie moich książkach Francja jest obecna” — powiedział Zawieyski. — „Na przykład w powieści „Wawrzyn i cyprysy” bardzo liczne ustępy są poświęcone Lammensis-emu, Barbey'owi d'Aurivilly'emu, Mathyemu de Guerin i jego siostrze, Eugenii. Co do współczesnych pisarzy francuskich, żywcem głębił podziw dla Claudela, Giraudoux, Malraux, Saint Exupery'ego, Alberta Camusa, Butora”. Zawieyski wspomina też Gabriela Marcela jako autora „Homme Viatore”, „Etre et avoir” i dramaturgii.

W „Wawrzynach i cyprysach”, jak stwierdza Zawieyski, podejmuje próbę powieści nowego typu. Istnieją bowiem dwa rodzaje „nowej powieści”. Pierwsza polega na subiektywizmie i depersonalizacji. Druga zmierza do uchwylenia rzeczywistości nie poprzez fikcję, lecz stawianiem pytań światowej realności: na przykład historii lub zjawiskom kultury.

„Nouvelles Littéraires” podnosi też, że Zawieyski obchodzi 40-lecie swej twórczości.

POLSKA NA WIENNA-LE 1967

Niedawno w Wiedniu odbył się stożunkowo mało znany w świecie Międzynarodowy Tydzień Komedii Filmowej. W wiedeńskiej Uranii wyświetlano najnowsze obrazy kinematografii światowej. Na festiwal przybył m. in. aktor radziecki Smoktunowski. W ciągu ośmiu dni pokazano filmy produkcji włoskiej, duńskiej, radzieckiej, francuskiej, szwajcarskiej, amerykańskiej, czechosłowackiej. Kinematografie austriackie reprezentował film Jerzego Lohozky pt. „Special Servicer”. W festiwalu zaznaczył swą obecność również film polski, wprawdzie nie przez obraz pełnospektaklowy, ale przez udział w specjalnym pokazie filmów krótkometrażowych. Również przed pokazem angielskiego filmu „Daylight Robbery” pokazano kilka polskich filmów rysunkowych. Filmy polskie przyjęto z zapałem. (sr)

WYSTAWA POLSKIEJ RZEZBY W WIENIU

Staraniem Towarzystwa Austriacko-Polskiego doszło w dniach od 9. V. do 9. VI. br. w Wiedniu do prezentacji współczesnej polskiej rzeźby. W galerii przy Biberstrasse wystawiali swoje prace cztery polscy rzeźbiarze: Domicela Bożekowska, Wanda Czelkowska, Zofia Polcińska i Ludmiła Stehnowa. Ciekawą ekspozycję uzupełniały obrazy Jana Berdyszaka. Uroczyste otwarcie wyją br. Słowo wprowadzające wygłosił znany historyk sztuki dr Wiktor Matejka. Po polskich dniach w Wiedniu kultura polska ponownie zaprezentowała się w Republice Austriackiej.

POLONICA

Notatki na MARGINESIE

Ukazał się bardzo piękny wydany Atlas Zabytków Polskiej Architektury. Oczywiście od razu sprawdzamy, jak w nim wypadła Łódź. Niestety, wypadła źle: nieodkryty dotąd urok naszego miasta — najpiękniejsza chyba w Polsce secesja — nie jest nawet wspomniana w Atlasie. Trudno więc zresztą dziwić: sami jej nie dostrzegamy, piękne kamieniczki secesyjne w remoncie są częścią „obłupianą” ze swych ozdób i uroków, inne żałośnie niszczeją. A przecież światowa moda na secesję właśnie dla Łodzi była i jest jeszcze szansa.

Wydaje się, że trzeba w tej sprawie działać: mówimy coś i robimy coś! Historycy sztuki, architekci, lokalni patrioci — odczytajcie się! Czekamy na Kolumba, który odkryje łódzką secesję. Dla wyjaśnienia: wnetrzarz to człowiek, który

potrafi przeistoczyć ciemny sklepik w nowoczesny supersam.

A teraz słowo o łódzkich architektach wnetrz: są to bezspornie cudotwórcy. Czasem cudotwórców cechuje jednak brak kontaktu z rzeczywistością. Łódzcy architekci wnetrz bywają tego dowodem i często uprawiają sztukę czystą, wszystko gotowi poświęcić dla jakiegoś własnego wyimaginowanego ideału piękna.

A potem w sklepach nieludsko męczą się sprzedawcy i kupujący. Małe, przestarzałe lokaliki handlowe nasi wnetrzarze modernizują, zawieszając w nich jakieś wymyślne niby pułapy, małe kłitki zagęszczając barykadami gablot i kontuarów: może wygląda to nowoczesnie, ale w rezultacie nie ma czym oddychać, o wentylacji (co za banalny problem!) nikt oczywiście nie pomyślał. Przykład i to klasyczny: nowy sklep Fotoptyki w okolicach placu Niepodległości.

Ba! Ale żeby tak się działo tylko w starych podanych renowacji pomieszczeniach. Niestety, wystarczy zajrzeć do nowych i obszernych lokalów publicznych, by się przekonać, że i tu nie jest najlepiej: problem wenty-

lacji jest przez wnetrzarzy z zasady ignorowany i to tak dalece, że najczęściej w ogóle nie prze-widują otwierania okien. Przykłady? Proszę bardzo: Klub MPiK, „Delika-tesy” przy Kościuszki itd. itp.

Nie wiem, czy w okresie upałów spada na czyjeś głowy tyle przekleństw — co na bezroz-kośnościn naszych łódzkich architektów wnetrz. Cóż z tego: w tym czasie sa oni na zastużonych wakacjach. Wracają do miasta z nastaniem chłodu, kiedy problem zostaje jakoś tam załatwiony przez nasz miłośniery kilomat.

Matury — zwane czasem Bóg raczy wiedzieć dlaczego egzaminami dojrzałości — minęły w tym roku w atmosferze ogólnego zaożenowania: okazało się bowiem, że od dzie-siątków lat oko ludzkie nie widziało abiturientów o tak żałośnie niskim poziomie przygotowania ogólnego. Teraz oczywiście zaczniemy dorabiać teorie do tego przykre-go zjawiska — i będzie ich na pewno wiele. A wró-bła na dachach ewierka-ka, że to no prostu wy-nik wadliwej od A do Z

reformy egzaminów maturalnych.

W szmrowałym choć bardzo popularnym Cine monde przeczytałem rzecz, która przyparowała mnie zrazu o moment osłupienia, a potem — o chwilę refleksji. Okazuje się bowiem (głoszę to za w/w organem francuskich cineastów) że za sexbom-bę nr 1 została uznana na zachodzie Olinka Berrova — Czeszka, taka sobie blondyneczka.

Działalność eksportowa naszych pobratymców z południa jest istotnie imponująca. Ale że będą eksportować sexbomby, o to ich nie podejrzewałem i wciąż jeszcze nie mieści mi się to w głowie. Czeszki sa świetnymi gospodyniami, gotują znakomite knedliczki, przed zaśnięciem wypijają z mężem lub kochankiem duże piwo z pianką. Takie mamy przynajmniej o nich pojęcie. A tu bomba! A raczej sexbomba!

Wic sprawa istotnie może przyprawić o osłupienie.

A refleksja? Od dwudziestu lat nasi filmowcy żyją w otoczeniu najpiękniejszych dzieł sztuki kontynentu. Ponoć nawet to sobie chwala. I co? I nic. Polska nie ma gwiazd filmowych, o sexbombach nikomu się

Marian Białoch

KOMIS

nisko się kłania

Jestem tylko jednym z 20 tysięcy kierowników w mieście Łodzi...

Tak zaczął swoje wyznanie szef małego komisju i dodał: W handlowej branży królem na szachownicy jest lord „Galux”, królową madame „Delikatesy”, ja jestem tylko pionkiem w małym, zagraco-nym sklepiu. Wcale bym jed-nak nikomu nie radził pion-ków w handlu lekceważyć. Czasem lubię zaszyć się w ciemny kącik, żeby ukrad-kiem moich klientów poobser-wować. Rzucę okiem i od ra-zu widzę takiego gościa od kulis i podszywki. Sza... tylko nie tak głośno. Właśnie wszedł do sklepu jeden z moich do-stawców. Rozgląda się. Po-równuje ceny. Kalkuluje, do-daje i mnoży. On chyba lep-szy matematyk niż humanis-ta, choć skończył historie czy coś takiego. Ma szczęście. Centrala, w której pracuje, wysłała go w służbowe podró-że na Zachód. Ha, ha... pan magister trzyma wypchaną tezkę w rękę. Wyobrażam so-bie jak on oszczędzał w Pa-ryżu jak nieładzko sknerzył. Ale nigdy nie piśnie nikomu słówkiem, że chodził przez miesiąc pieczo, żeby nie wy-dać zżamanego centima na me-tro, że nie zna ani paryskich kin ani restauracji, że nie ja-dał nawet obiadów, sam parzył sobie herbatę w trzeciordzed-nym hoteliku i zagryzał ta-nim jak barszcz bananami. Węgetował w Paryżu jak ostatnia niedza, jak derwisz, jak ten hinduski jog, co to nie je, tylko żyje powietrzem. Zmierzniał, schudł, oczy ma wpadnięte, cerę ziemistą, ale odłożył z diet kilkadziesiąt fran-ków. Trochę też zahandlował. Nie skompromitował się. Zna-łami pozieleńca z zazdrości. Przyjaciele, ci prawdziwi, po-klepią po ramieniu — zarad-ny z ciebie facet, takich po-trzeba nam więcej... Magister starał się, wiem o tym. Od-rana do wieczora kręcił się po paryskich bazarach, przewa-chał całą tandetę, aż wylado-wał na pchlim rynku. Uwaga, pan magister już się do mnie zbliża. Zaraz otworzy tezkę.

— Panie kierowniku, mam różne artykuły do sprzedania, wszystkie w wybornym, pa-ryskim gatunku...

Doprawdy, można się uśmieć. Do kogo ta mowa? Czy panu magistrstrowi zdaje się, że ja nie wiem, gdzie on kupował ortaliony, koszule, bluzki i sweterki. Cóż mnie to zresztą obchodzi? Znosze-dził, kupił, przywiózł. Tylko

po co te tajemnice. Za kogo on mnie trzyma? Naprawdę to godne pożałowania. Czy naprawdę uważa, że ja nie wiem, że kupił te parę spod-ni z tergalu za 27 franków na wyprzedzący — „a la Gran de Maison” przy rue Auber? Dobrze też wiem, że za he-lanka płacił po franku z groszami, za koszulę „Nylfrance” dokładnie po 12 franków i 50 centimów, a za damskie pu-lowery franków 15. Do mnie mógłby już mieć więcej za-ufania.

— Dziękuję, panie magistrze, dziękuję. Proszę zająć za miesiąc, przez ten czas towar powinienem sprzedać...

Kto następny? Pani Krystyna? Nie, to niemożliwe. Doprawdy, jestem pełen podziwu. I znowu z karakulami? Nie do wiary. Co to za spry-ciaral! Tak, ewaniara jakich mało, ale i ja rozszyfrowa-łem, choć ona o tym nie wie. Kupuje gdzieś na boku stare, wytarte, wyjedzone przez mo-le, zleżale karakuly, takie, że same tylko dziury i taty — za jakieś 3 tysiące złotych. Zak-lada na plecy i — hajda do Moskwy. Tam stare karakuly wyrzuca na śmietnik i kupuje nowiutkie, błyszczące, de-likatne futro z czarnych bara-nów azjatyckich. Jak ona to robi? Skąd bierze ruble? A skąd ja mam to wiedzieć? Jestem tylko kierowni-kiem małego komisju. Ku-puje, sprzedaje. Jak ona to robi? To jej handlowa ta-jemnica. Celnik patrzy, pa-trzy... Co jest... karakuly wy-jechały z kraju i karakuly przyjechały. O co chodzi?... Tylko, że te karakuly, które pani Krystyna za chwilę przede mną rozłoży, są war-te jakieś 50—60 tysięcy zło-tych. Ona te pieniądze otrzy-ma. Towar jest najwyższej klasy.

Do widzenia, do widzenia pa ni...

Zajmuje się kupnem i sprzedażą towarów zagranic-nych. Przyjmuje w komis karakuly z Moskwy, barany z Sofii, wydry z Rumunii, austriackie sweterki z Buda-pesztu, koronki z Lipska, or-taliony z Mediolanu. A ruch jest duży, nie można narze-kać. Niedawno zjawila się u mnie młoda niewiasta z kuś-nierzem. Kazała sobie podać brunatne norki. Włożyła, ku-snierz zbadal i po 10 minu-tach wyłożyła 120 tysięcy zł na lade. To się nazywa klient. Największe obroty mam jed-nak zawsze w sobotę przed

dniemi Wszystkich Świętych. Drzwi się wtedy nie zamyka-ja. Jeden klient wchodzi, dru-gi wychodzi. W jedną sobotę sprzedaje futra za 200—300 ty-sięcy złotych. Czy piękne pa-nie witała o beżowe szwyszyle? Skądże. Beżowa szwyszyla to jeszcze większy fuks niż szafirowe norki. Futro z szafi-rowych norek kosztuje zło-tych polskich 220 tysięcy. Ile kosztuje futro z szwyszyl? Nie wiem. Takich futer jesz-cze w kraju nie ma. I dużo nie będzie. Na Bond Street w Londynie za szwyszyle płaci się kilkanaście tysięcy dola-rów. POCO zresztą tyle szumu o szwyszyle? To futra nietrwa-łe. Królowe zakładają je w dniu koronacji i zaraz potem zdejmują. Kto kupuje drogie futra?

— A... witam, witam, jed-nak państwo do mnie wrócił...

To chłopka rodzina. Po-wiem na ucho, że to moi naj-lepsi klienci, bogacze spod Kutna i Łęczycy badylarze. Poznaje ich od razu. Któż by nie poznał. Wala od drzwi, na nikogo nie patrząc, prosto do szaf z futrami. Każą sobie o-dawać wydry, barany, piż-mowce, nutrie i norki. Przy-mierzają, medytują, podcho-dzą z futrem do okna, ugnia-tają palcem wachają. Sa nie strudzeni. Boże, czego oni nie wyrabiają... Małoby skóry nie ugryził, żeby sprawdzić czy futro prawdziwe. Miła godzi-na, dwie. Wreszcie cała rodzi-na na wchodzi.

Ja stoję za konturem i śmieję się w kulak. Wiem, że wróca wieczorem. Obejda po kolei wszystkie komisju i wszystkie sklepy futrzarskie w mieście Łodzi. W każdym po kolei będa przymierzają, po-równywać ceny, radzić się po-stronnych faktorów — i tak ca-ły dzień, aż w końcu trafia do mojego sklepiu. Właśnie ich widzę. Powrócili zmęczeni, na pół przytomni. Zaraz opad-na na krzeselka.

— Jakie karakuly państwo sobie życzą? Podać syberyj-skie czy kaukaskie?

Badylarze z Ksawerowa, Ru-dy, spod Kutna i Łęczycy są nabici forszą. Państwo może myśleć, że eksportowy cebu-larz dlatego kupuje żonle ka-rakuly, żeby w karakulach chodziła? Guzik. Oni szukają zabezpieczenia dla gotówki jaką zagarnięją z wolskiej ce-bulli i zielonej salaty. Bady-larz szuka dobrej lokaty dla kapitału. Kupuje dolary, zło-ty pierścionki, schafshauseny i brylanty. Kupują też norki. Co futro — to futro. Jest drogie, a wszystko co drogie, jest zawsze modne. Śmieszne, na futrach to już majątku nie zrobią. Nie wiedzą biedacy, że piżmowce, które dziś warte są 20 tys. zł, po dwóch sezonach są warte tylko 14—16 tysięcy. Czas robi swoje. Nawet karakuly nie są wie-czne. Włos wiotczeje, skreca się, traci elastyczność, staje się martwy, potem zaczyna się filcować, a to już począt-ek końca. Nowy kołnierz z karakulów jest od spodu ciemny i mocny jak stal. Sta-ry ma skórę dużo bielejszą, wystarczy silnie pociągnąć, a rozerwie się jak zleżała



szmata. Żeby zjadłem na fu-trzanym interesie, stary ze mnie wyga, dobrze wiem, co mówię. Futro, nawet najlep-sze, nawet jeśli tylko wisi w szafie i nigdy nie jest no-szone, nawet takie futro po 50 latach rozłazi się pod pa-lcem. Fachowiec rzuci okiem i po błysku i kolorze włosa z punktu odgadnie ile lat ma takie futro na kołnierzu, ile straciło na wartości.

— A... kogo ja widzę, daw-no pana nie widziałem...

Dobrze pan trafił, mam na składcie nowe bobry...

Byłbym niesprawiedliwy. Wśród mężczyzn też nie brak maniaków. Ten, który tu wszedł przed chwilą, to dawny mój znajomy. Od paru lat pyta o bobry, lasice i gronostaje. A specjalnie po-luje za bobrami. Najgorsze, że nie go nie zadawała. Ow-szem, dotknię, pogłaszcz, zmrzy oko, przyłoży skórę na kołnierz, ale potem od-klada i mówi... Czekam na coś lepszego. Ciekaw jestem na co? Frycyk. Chce się po-kazać jak za czasów młodo-ści w bobrowym futrze, w

białej koszuli, w kapeluszu na głowie i z laszczką w ręce. Elegancik z mor-skłej pianki. Ja bym się te-mu nie dziwił. Ja się pytam czy paw nie jest rodzaju me-skiego?

Świetnie też idą bluzki, sweterki, rajstopy, różna dzianina, kostiumy, wszystko co jest zagraniczne. Taka moda, nie się na to nie pora-dzi. Sklepiu, jak pan widzi ma-lutki, ciasny, zapchany, niewygodny, z trudem można się w nim obrócić, a jednak przynosi rocznie 500 tysięcy złotych zysku. Zysk mógłby być dużo większy, gdyby nie to, że nie mogę przyjąć tego towaru, który mi oferuje. Biorę w komis tylko połowę przyniesionych futer, swetrów i niemiętych koszul. Brak miejsca, proszę pana. Mój sklepik wygląda jak turecki kramik w Istambule. A po-tem mówią o mnie... To jest dopiero lobuz, od swoich bierze towar, od nas przyjań nie chce. Kancelarz, nie ma co mówić, to na pewno kan-ciarz... i kombinator. Dopraw-dy, można zwirować. Turyś-

ci rozmnożyli się jak te kró-lik, przywożą coraz więcej różnych aparatów, żyłek, maszynek, fatalaszków i ten towar nie znajduje ujścia. To jest ujście znajduje, ale pokatnie, edzień ukradkiem. Niech pan wpadnie do jakie-go biura pod koniec wrzeź-nia, kiedy sezon urlopowy już się skończy. Niejedno łódzkie biuro to wtedy sklepik z ciu-chami.

Komis to świetny interes. Państwo by mogło na tym zarobić dwa razy więcej niż zarabia, mogłoby zgarnąć grube miliony. Ale czy my handlować potrafimy? Już kończy. Niech pan zgłosił się do mnie pod urlopie. Proszę koniecznie zgłosić się do mnie. Będa miał na składcie różne takie rzeczy. Pan rozu-mie... Co pan mówi? Czo-łowiek nie po to żyje, żeby się dobrze ubierał? Ale kto ko-mu przeszkadza dobrze się ubierać, żeby dobrze żyć? Polecam się pamiętać...

O czym powiadamia: JAN BABINSKI



Lewym okiem

POD TYMI ZIELONYMI LIPAMI...

Prawie każde małe miasteczko, a nawet mniej niż miasteczko — osada, posiada własny park, przy czym jest to najczęściej park Kościuszki. Stoją tam cztery ławki, pomalowane na żółto i na czerwono, sterczy jakiś głaz z napisem, i szumią stare, wielkie drzewa, pamiętające cza-sy, kiedy były po prostu częścią przetrzeźbionego dawno lasu.

Park jest przeważnie pusty, bo każdy z miesz-kańców miasteczka ma własny ogródek, a nawet jak nie ma to wyjdzie trzy kroki i siada sobie na miedzy, jeśli już koniecznie chce zażyć po-wietrza. Ponieważ jednak większą część życia spędza na powietrzu, więc w czasie wolnym woli siedzieć w domu.

Park stoi więc pusty, aleje zarastają, zamiar-ć nie ma komu, smutnawo. Natomiast dużo we-selszym miejscem — wybaczyć, ale naprawdę tak jest — są w takich miasteczkach ementarze. O wiele bardziej zadbane, uczęszczane, wystro-żone przez okrągły rok jak na niedzielę, pełne

pręknętych kwiatów i słońca. Opuszczone, zapadłe w ziemię mogiłki, zamurszale i pochylone krzyże, białych szczykające na wietrze, szpetne figurki z gipsu spoczące można jeszcze tylko na ogrom-nych ementarzach wielkich miast; w wielkich miastach czas pędzi jak wiatr, pamięć trwa kró-cej, drożdy nieobecni stają się niezmiernie szyb-ko anonimową masą, prawdziwym zaświatem. Na prowincji inaczej. Tu każdy mieszkaniec spotyka na ementarzu samych znajomych, jest nadal wśród swoich. Tu się o swoich pamięta, razem z nimi czymś się honory domu wobec sąsiadów i dalszych krewnych: stawia im się ławeczki, sprząta mieszkanie — przeproszam, grób — pie-łęgnuje kwiaty, stroi całość jak najgodniej.

Te ogrody i miejsca świętecznych spotkań ma-łomiasteczkowej publiczności zbyt rzadko stają się przedmiotem obserwacji obyczajowych i so-cjologicznych. Szkoda. Pełz tu się zmieniło i cią-gle zmienia, ile się nasuwa wniosków! Popatrzyć na nagrobki w maleńkiej dolnośląskiej Czerminie (tam, gdzie ta potworna kaplica z czaszkami, z lekko zawianym przewodnikiem, któremu nie oplaci się fatygować do mnie niż dwudziestu osób i który wygłosi młowi niewczesnych dowci-pów, niż informacji o samym obiekcie), w Polanicy (nastoneczniony stok wzgórza, labirynt ży-wopłotów, w którym dzieci bawią się w chowa-nego), w starym i do niedawna niebogatym Opocz-nie, w zuyczajnej mazowieckiej wiosce — Dzier-żenowie: same pomniki, i to jakie! Za zaprojekt-owanie byle zygarka w czasie Targów Poznań-skich plastyk bierze kupę forsy. Kto projektuje nagrobki? Jest bardzo wiele takich, które można by fotografować i rysować, których walor estetycz-ny na pewno nie ustępuje tysiącom różnych „wy-strojów” i „opraw plastycznych”, pichconych w naszym świecie, po tej stronie muru, w zgiełku reklamy i hambugu.

W doroczne święta przed bramami ogrodów, o których mówimy, stoją długie rzędy samocho-dów: synowie tych okolic przyjeżdżają z miast w odwiedzinę. Tego nie pokazała jeszcze kronika filmowa, a to przecież kapitalny wyraz naszych czasów, naszych — że posłużę się lekko naduży-tym słowem — przemian. No i cała literatura w dwóch — trzech nagrobkowych słowach: „Syn ziemi wileńskiej, zmarł w Polanicy...”, „Ger-hard Tschollek, Tischlermeister, 1940, i Berta Cio-łek, 1956”, „Stanisław Pawłowski, baron cygański, żył lat 96...”

Zniknęły tylko wiersze. Widocznie nowoczesna poezja nie nadaje się do rycia w kamieniu, a tradycyjnej ludziska się wstydzą. Widocznie daw-noj nie zepsute nadmiarem literatury mózgi do-patrywały się w zrymowanym słowie szczególnej jakiejś magii, uroku, podniesienia; takim słowem zegnano swych bliskich, przono o westchnięcie i pamięć. To minęło, i nawet Tuwim nie zdołał zebrać i wydać antologii ciekawszych nagrobko-wych wierszyków i sentencji. Takich, jak ten w Weimarze, obok rzędu mogił rodziny Goethego:

„Unter diesen grünen Linden ist Herr Joseph Graaf zu finden...” czyli: Pod tymi zielonymi lipami należy szukać pana Józefa Graafa. Czytelnicy, znający dobrze język niemiecki, wyczuwają, ile w tych słowach humoru, może mimowolnego, a w dalszych stro-jach było jeszcze więcej, tylko nie zapamiętałem. Zapamiętałem natomiast scenę z Polanicy: dwoje ludzi całujących się na ławeczce przy grobie z takim przekonaniem, że w ogóle nie sły-szeli, chociaż — słowo daje — chrząkałem i kas-tałem. Potem dopiero odskoczyli od siebie — on siony, ona pod pięćdziesiątkę. Jakże więc nie być optymistą, proszę panów?

CWIEK